



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 38 (128)

NIEDZIELA, 12 LISTOPADA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

BALCANICUS

KU CZEMU IDZIE RUMUNIA?

Historia krytycznych miesięcy

Zerwanie Rumunii z Rzeszą nie było niespodzianką dla nikogo badającego historię obserwowanych. Już w pierwszej połowie sierpnia znali w tajemniczości nazwiska głównych aktorów przygotowujących się do dramatu, a nawet i pewne szczegóły techniczne — organizacyjnych przygotowań. Na pewno natomiast wypadki z 22 sierpnia zaszkodziły Manfredowi von Killingerowi, pości Rzeszy w Bukareszcie. Samobójstwo, które popełnił on wraz ze swą sekretarką (spełniającą nadto rolę jednego z szefów Gestapo), tłumaczącą kłótnie rumuńskie szokiem, jakiegoś ucieki, gdy orędzie młodego króla Michała dramatycznie zdementowało — uspokajające raporty, które Killinger wysyłał podobno do ostatniej chwili do Berlina. Wersję tę potwierdzać się zdaje i przebieg pierwszych godzin zamachu: niemiecki garnizon w Bukareszcie był zupełnie nie przygotowany. Oficerowie Wehrmachtu, jeszcze w parę godzin po proklamacji króla spokojnie siedzieli w swych kwatery. W hotelu „Princiar”, w Bukareszcie, portier obudził w nocy oficerów niemieckich i zakomunikował im, że Rumunia zerwała z Rzeszą. Oficerowie złożyli broń w szatni i spokojnie poszli kontynuować przerwaną sen...

Pierwsze sygnały

Pomyłka Killingera, która jego samego kosztowała życie, a Rzeszę — czternaście dywizji, złapanych w polzask między Prutem i Dniestrem, jest oczywiście nie do usprawiedliwienia, ale w części wyjaśnia ją wydarzenia, które rozegrały się w Rumunii od jesieni 1943 r. O zerwaniu z Rzeszą mówiono w Bukareszcie od tak dawna i tak głośno, że Killinger, człowiek o mentalności feldfebla i pozbawiony zarówno taktu jak i wszelkiego wyczucia politycznego, przestał te wersje brać poważnie. Równie ślepy — co jeszcze trudniej zrozumieć — był i generał Hansen, od 1940 szef niemieckiej misji wojskowej w Rumunii. Obaj zadowalali się pobłażliwym wzruszaniem ramionami: „Rumun, nie odważ się!”.

A tymczasem nie brak było ostrzegawczych znaków. Decyzja zerwania z „osłą” dojrzała w Rumunii już jesienią 1943. 13 października tego roku Włochy wypowiedziały wojnę Niemcom. Nazajutrz Rosjanie zdobyli Zaporżę, rozegrali się po zachodnim brzegu Dniepru, a wreszcie zajęli Kijów. W Bukareszcie, gdzie zresztą wojna z Rosją była od początku popularna „tylko do Dniestru”, rozumiano, że nie już nie uratuje Rzeszy.

Grupa polityków, liberałów i caranistów, począł a wtedy rozważać plan „symbolicznego” zamachu stanu: obalenie Antonescu, proklamowanie rządów demokratycznej koalicji i rzucenie apelu do świata przez radio, że oto naród rumuński protestuje przeciw narzuceniu mu współpracy z Rzeszą i opowiada się po stronie anty-faszystowskiej koalicji. Autorzy planu, którego jednym z głównych promotorów był były gubernator Banku Narodowego, Mihail Constantinescu, zdawali sobie sprawę, że próba przewrotu byłaby zdżsna, że Niemcy w zaradku. Uważali jednak, że wobec wyraźnego już wtedy przechylenia się szali na korzyść sprzymierzonych, warto było za ryzykować nawet reperje, które by niechybnie spadły na kraj ze strony Niemiec, było tylko siły zbrojne dla Rumunii zawczasu pewne tytuły moralne u sprzymierzonych.

Plan był w toku rozważań, gdy — w połowie listopada — Niemcom powiodła się częściowo kontr ofensywa w łuku Dniepru. Padł Zytomierz i niebezpieczeństwo grożące Rumunii zostało narazie zażegnane. Sam zresztą plan „symbolicznego przewrotu” wydawał się większości poli-

tyków rumuńskich zbyt ryzykowny. Maniu i Brătianu zdecydowali zatem, że trzeba czekać na dalsze osłabienie Rzeszy.

Ponadto, w owym momencie, gdy Rumuni nie przewidywali jeszcze zarysowującego się już dzisiaj wyraźnie podziału Bałkanów na strefy interesów, pragnęli oni za wszelką cenę porozumieć się nie tylko z Rosją, ale także i z Anglosasami. Czy nikt też wielokrotnie próby nawiązania z nimi bezpośrednich rozmów, bez większego jednak rezultatu. Dawano im stale do zrozumienia, że droga ich do układów ze sprzymierzonymi prowadzi, napierw przez Moskwę. Ta rezerwa ze strony Anglosasów oraz ciężkie bombardowania Bu-

napowie stronnictwo socjalistyczne kierowane przez Titela Petrescu, kilku salono- wych komunistów w rodzaju byłego totalisty Ralle'a i obecnego ministra spraw zagranicznych Nicolaeu — Buzesti, a wreszcie reprezentujący dość poważną siłę odłam secesjonistów liberalnych pod wodzą Tatarescu. Ten ostatni, połączany przez prawicę za oddanie Besarabii bez wysiłku w czerwcu 1940, a przez demokratów za długoletnie wysługiwanie się Karolowi, potrafił jednak skupić wokół siebie dość wytrwałych polityków i trzymać się na uboczu.

W stanie zupełnego rozkładu znalazły się niedobitki — dość liczne zresztą — „żelaznej

męgi Hitlera, domagających się natarczywie dymisji wicepremiera i internowania przywódców opozycji, pozostawiając bez rezultatu. Marszałek Antonescu zdawał sobie sprawę, że jedynie opozycja będzie mogła podjąć próbę uratowania Rumunii po klęsce Niemiec, przynajmniej więc czy na jej działalność i ochraniał jej przywódców przed zakusami Gestapo.

Misja Stirbeya i Visoianu

Gdy po krótkim zatrzymaniu się, wojska sowieckie wznowiły swój marsz ku granicy rumuńskiej, opozycja zdecydowała się uczynić jeszcze jeden wysiłek dla wejścia w bezpośredni kontakt z Anglosasami. Wybór padł na ks. Barbu Stirbeya, sędziego już „country-gentlemana”, zwanego ściśle z dworem, za życia królowej Marii. Z początkiem marca br. zjawił się on w Stambule pod pretekstem odwiezienia tu córki, obywatelki brytyjskiej (po mężu) i — jak fama głosi — narzeczonej posła rumuńskiego w Ankarze, Aleksandra Crețeanu. Po kilkudniowym zaledwie pobycie w Turcji ks. Stirbey ruszył jednak w dalszą drogę do Kairu. Prasa aliancka ujawniła, że gdzieś on tam w misji pokojowej. Formalnie był Stirbey wysłannikiem opozycji rumuńskiej, faktycznie jednak działał nie tylko za wiedzą, ale i za zgodą rządu.

Przybycie Stirbeya do Kairu wyprzedziło zresztą b. nieznacznie tylko przekroczenie przez armię czerwoną granicy rumuńskiej i deklarację Molotowa (2 IV), obiecującą Rumunii północny Siedmiogród w zamian za Besarabię i Bukowinę i zapewniającą o intencji ZSRR uszanowania niepodległości i suwerenności Rumunii.

W Bukareszcie zrozumiano, że czas nagli. W ślad za ks. Stirbeyem udał się do Kairu — tym razem w najgłębszej już tajemnicy — p. Visoianu, b. poseł w Warszawie i jeden z najbliższych współpracowników Titulescu. O ile — jak się wydaje — Stirbey miał tylko sondować możliwości rokowania z trzema aliantami a nie z samą tylko Rosją, o tyle Visoianu pojechał już pytać o warunki zawieszenia broni, znów nieoficjalnie, ale za cichą zgodą rządu.

Warunki, które zakomunikowano — ciągle nieurzędowo — delegatom rumuńskim w Kairze, pokrywają się w ogólnych ryśach z treścią konwencji o zawieszeniu broni podpisaną w Moskwie we wrześniu br.; żądano od Rumunii już wiedzy przywrócenia granicy z Rosją z 28.VI.1940 i wystąpienia do walki przeciw Niemcom.

Jak się zdaje, ten ostatni warunek skłonił marszałka Antonescu do odrzucenia propozycji sprzymierzonych, mimo że w zamian obiecywano Rumunii z Moskwy zwrot północnej Transylwanii, przyłączonej do Węgier na mocy arbitrażu Ribbentrop-Ciano z 31 sierpnia 1940.

Między Bukaresztem i Berlinem

Sprawa utknęła więc na martwym punkcie i choć Rumunia nadal walczyła z Rosją, wierzając już z Berlinem stała się coraz bardziej. Przede wszystkim, już od Stambulu Rumuniję przestali wysyłać do Rosji jakiegokolwiek uzupełnienia i praktycznie biorąc, jedynie ich wojska poza Dniestrem była to drobna grupa — około 50.000 ludzi — na Krymie, której nie można było wywołać.

Powtórnie, z początkiem 1943 r. wstrzymali Rumuni wszelkie dostawy żywności do Niemiec. Szła tam tylko nafta w ilości nie przekraczającej 3 milionów ton rocznie (około 1.200.000 t. benzyny) rocznie. Przestali też Rumuni finansować inflację



Ćwiczenia żołnierzy Armii Krajowej w strzelaniu przeciwlotniczym

resztą wpłynęły również silnie na ostudzenie zapалу zwolenników natychmiastowej volte-face.

„Frontul Romaniei libere”

Porzucony plan Constantinescu przyczynił się jednak do zacieśnienia współpracy między stronnictwami opozycji. Dotychczas była ona w rozdrobieniu. Z jednej strony stały zablokowane dwie wszechstronne kłębki partii: chłopska (tzw. caranisci, kierowaną przez dr. Iuliu Maniu) oraz narodowo-liberalna (Constantin — „Dinu” — Brătianu). Partie te, choć formalnie ubolewały nad konfliktem między rumuńskimi, usprawiedliwiali jednak w gruncie rzeczy decyzję marszałka Antonescu o odzyskaniu Besarabii i płu. Bukowiny w oparciu o Niemcy. Jeszcze w połowie 1943 roku Maniu odrzucił wszelkie czynione mu przez komunistów, uważające wszelką współpracę; od wyrażenia niepowiedzenia się ich za powrotem obu tych prowincji do Rumunii. Od pierwszej jednak chwili blok ministrów i liberałów krytykował wysłanie armii rumuńskiej poza Dniestr. Marszałekowi Antonescu stawiano ciągle za wzór Finlandię, która poprzestała na obsadzeniu linii granicznej sprzed 1939.

Na drugim biegunie stali komuniści. Byli oczywiście zasadniczymi przeciwnikami wojny z Rosją, upatrując w Niemczech jedynie realne niebezpieczeństwo grożące Rumunii, od którego wybawić ją może tylko pojednanie z Sovietami. Partia komunistyczna głosiła możliwość skompensowania utraty prowincji północno-wschodnich odzyskaniem północnego Siedmiogrodu. Między tymi dwoma biegunami: komunistycznym i demokratyczno-liberalnym, oscylowały drobniejsze grupki, a więc ka-

gwardii”. Drobna ich część spoglądała nadal ku Berlinowi, gdzie żył z kasy niemieckiej Horia Sima, tragi-komiczny kandydat na rumuńskiego fuhrera, część próbowała się oprzeć bądź o caranistów, bądź nawet o komunistów, reszta wreszcie, elementy najgorsze, bezideowe, chodzący luzem i stanowią do dzisiaj materiał wybuchowy, do którego łatwo przytknie lont każdy, kto zechce stworzyć pozór robienia w Rumunii „rewolucji od dołu”.

Taki był, z grubsza biorąc, układ sił w Rumunii na początku minionej zimy. Mnożył się niepowodzenia Niemiec począł wkrótce skłaniać żywioły opozycyjne do konsolidowania się. Z początkiem 1944 r. poczęł się krystalizować „Front wolnej Rumunii” i przybrał wreszcie kształt organizacyjnej koalicji czterech stronnictw: chłopskiego, narodowo-liberalnego, socjalistycznego i komunistycznego. Grupa Tatarescu pozostała poza „Frontem”, podobnie zresztą jak i Jerzy Brătianu (bratanek szefa liberałów, ten ostatni dla swego nie tyle może przeciwnieckiego, ile nieufnego w stosunku do Sovietów nastawienia).

„Front” wyłonił komitet wykonawczy, złożony z przedstawicieli czterech stronnictw: komunistów reprezentowali w Komitecie obecny minister sprawiedliwości, adwokat Petrascanu, socjalistów — Titel Petrescu. Komitet rozwinął dość żywą działalność, której świadomie tolerował rząd.

Już bowiem od dłuższego czasu ustalili się już rodzaj milczącego porozumienia między marszałkiem Antonescu a opozycją. Łącznikiem — niemal że oficjalnym — był wicepremier Mihail Antonescu. Niezliczone demarches Killingera a nawet sa-

(Dokończenie na str. 5.)

Janina z...
później, kto...
zawod...
- Red

C. S. LIN

CHINY I WOJNA

Artykuł niniejszy otrzymała redakcja „Orla Białego” z kół chińskich.

Jedną z wielkich niespodzianek wojny tej wojny był fakt, że Chińczycy mogli stawić opór Japonii i nawet osiągnąć znaczne powodzenia. Naród chiński, jest pokójowy i jedno z jego najbardziej znanych przysłów powiada, że z dobrego człowieka — żołnierza (*). Mogłoby się więc ktoś zapytać, dlaczego przed obecną wojną z Japonią Chiny widziały u siebie tyle wojen domowych? Odpowiedź jest prosta: chodzi tu o zjawisko przejściowe. Po złotym wieku w drugiej połowie XIX wieku z cywilizacją zachodnią, stare Chiny rozkładały się we wszystkich warstwach społecznych, a przy ogólnym upadku nastąpiło też duże bezrobocie: chłopci, udułający się do miast, aby szukać pracy w fabrykach, nie znalazłszy jej, stawali się najemnymi żołnierzami lub bandytami. Zjawisko to przybrało jeszcze na sile po r. 1911, na skutek upadku tysiącletniej władzy, a każda nowa wojna przyczyniała się do pogorszenia sytuacji wsi. Prawda jest, że gdyby Chińczycy mogli mieć swoją garść ryżu, nigdy by się nie brali do wojny. Jeżeli w tym wielkim konflikcie z Japonią Chiny walczyć tak dzielnie, to jedynie dlatego, że nie pozostało im żadnej innej możliwości, czy drogi wyjścia, poza walkę.

Prawda też, że naród chiński należy do narodów, które najbardziej kochają życie, jak się o tym może przekonać każdy, kto przeczytał książkę Lin Yu Tszan p.t. „Ważność życia”. Niemniej w obliczu groźnej śmierci każdy wybiera walkę, zostaje mu zawsze bowiem jakiś prawdomoibiśtwo, że będzie żył dalej. To jest powód, który skłonił Chińczyków do zacieśnienia oporu przeciw Japończykom od r. 1937.

Alc czy Chińczycy są dobrymi żołnierzami? Odpowiedź brzmi: przecząca — jest bowiem rzeczą jasną, że kto w ogóle żołnierzem być nie chce, nie będzie też dobrym żołnierzem, zarówno z braku głębokiego przekonania, jak i wojowniczego ducha. Aby być żołnierzem, należy położyć główny nacisk na jego przygotowanie duchowe, nie zaś fizyczne, ze stroną techniczną bowiem potrafi się obczekać każdy w mniej, lub więcej krótkim czasie. Obecna wojna pokazała nam, że w nowoczesnym konflikcie, pomimo tytuł wynalazków technicznych, nie sposób się obyć bez ludzi i piechota pozostaje jeszcze królową wojny.

Aby być przekonania Chińczyków do walki, trzeba im dać duży dołek kultury politycznej przedstawiającej im jasno przyczyny wojny. Tę samą działalność rozwija się zresztą w wojsku amerykańskim i angielskim za pośrednictwem kina i prasy, w celu przekonania narodów wojennych, których nikt nie uczył, że zabicie bliźniego jest rzeczą naturalną, w przeciwnieństwie do Niemców i Japończyków, rosnących w tym duchu od małego, w atmosferze kultury pruskiej albo samurajskiej. Jedynie dzięki kulturze politycznej Chińczycy mogli nabrać wojowniczości, ci sami Chińczycy, którzy uchodzili za najgorzej wyposażonych w świecie i którzy podczas wojny domowej, przed—czy pod czas bitwy, uciekali w strachu o życie, wynajmując za marny grosz, który musieli przyjąć nie mając innego wyboru...

Dzisiaj, poślednim latom bohaterstwa walki przeciw Japonii, nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że Chińczycy stali się doskonałymi żołnierzami, choć przedtem nie byłoby obrazu dla Chińczyka o zdrowym rozsądku powiedzieć mu, że nie wiele byli waleczni, jako żołnierze, ponieważ synowie Niebieskiego Cesarstwa uważają za wyższy stopień cywilizacji to, że się nie umie zabijać.

Nikt nie może wątpić, Chińczycy zaś lepiej tego doświadczali od innych, że Japończycy są może najlepszymi żołnierzami na świecie, będąc najwzrostkami fanatykami: nie łatwo się poddają i wolą śmierć niż niewolę, jak się to widziało na wyspach Pacyfiku. Inaczej bywa z Niemcami, ci bowiem poddają się, kiedy widzą, że nie ma już żadnej nadziei. Japończycy muszą uratować honor „twarzy” i poświęcić się w nadzieję do ostatniej kropli krwi dla ich „pana”.

tem, dlaczego Japończycy są żołnierzami, którzy zwykłe walczyć aż do śmierci ich pół-bogów, ce-

zbyt dosłownie: to, że i dia samych wie straciło aktual-

sarżowi, i to stanowi jeszcze jeden dowód ich barbarzyństwa.

Sam jednak tylko duch patriotyczny nie wystarczyłby Chińczykom, aby się tak zwycięsko opierać nieprzyjacielowi, gdyż użyczenie im nie wiele słabsze. Dlatego też główny sztab japoński obiecał, że podbije Chiny w parę miesięcy po wybuchu konfliktu 7 lipca 1937 r. Dzisiaj fakty pokazały, że wojskowa kasta japońska pomyliła się w rachubie, jak pomylił się zresztą również różni obserwatorowie zachodni, znający nawet dobrze Chiny i Chińczyków: nie chcieli wierzyć własnym oczom, kiedy ci ostatni trzymali Japończyków w szachu z frontu, z boków i z tyłu.

Jak się to dzieje? Chińczycy nie tylko, że byli nie uzbrojeni, ale i na dobiek ich zorganizowani. Cemu więc należało przypisać, że bili „Prusaków Wschodu”, jeden z najlepiej zorganizowanych narodów na świecie? Sytuację Chin pogarszała i to, że dopiero w r. 1937 dokonano się zjednoczenie po długiej wojnie domowej, trwającej od r. 1911. W gruncie rzeczy trudno nam mówić o zjednoczeniu, ponieważ generałowie, stojący na czele różnych prowincji, byli panami życia i śmierci na obszarach, które zajmowali i które uważali tak samo za swoją własność prywatną, jak najemne oddziały ich wojska. Rząd centralny, istniejąc, nie mógł przerzucić generała z jednego punktu na drugi, bez tej zaś władzy nie sposób jest prowadzić wojny. Prawdziwa jedność wewnętrzna okazała się konieczna. Nie wiele się więc mylił Japończyk, obserwatorowie europejscy i sami Chińczycy, gdy sceptycznie patrzyli się na możliwości obrony i oporu Chin przed nieprzyjacielem wzorowo uzbrojonym i zorganizowanym. Jednakże i w historii zdarzają się czasem wyjątki. Logiką zresztą jest wyjątek Chin, nie mających innego wyboru, jak opór do ostatka, podobnie jak było z Anglią w r. 1940.

Chińczycy nie uzbrojeni i nie zorganizowani przyjęli wyzwanie wielkiego kraju Wschodzącego Słońca i walczyli w niektórych miejscowościach o każdą ulicę, każdy dom, każdy niemal pokój (jak w Szanghaju) ciagle się cofając przed naporem zwycięskich wojsk japońskich. Wszystko postępowo podobnie jak w Rosji, kiedy nasi żołnierze posuwali się naprzód w lecie 1941 r. Chińczycy wpadli w rozpacz, ważne miasta utracane jedno po drugim, nieelastyczne linie kolejowe całkowicie w rękę japońskim, zajęte najbogatsze części Chin wschodnich i zdobyte największe porty. Żołnierze Czang-Kai-Szeka cofali się w coraz większą głąb kraju; wydawało się, że Chińczycy będą musieli kapitulować łąda chwilą i że historia chińska od r. 1937 pisaliby już tylko Japończycy; że starożytna filozofia i literatura piękna, cała chińska cywilizacja kilku tysięcy lat inady zginąć pod mieczem nowoczesnych Hunnów, samurajów. Wydawało się, że Azja, a za nią reszta świata (według sprawozdania ex-premiera Tanaka, Japończycy chcieli iść z Chin i Azji na podbój całego świata) weszły w ciemną epokę. Ale Chińczycy się nie ugięli i nie uginają, mimo iż pozwalają, żeby wróg zajmował „placę” — łudując tu i ówdzie na chińskim wybrzeżu.

Jak Chińczycy mogli osiągnąć powodzenie? Odpowiedź nie może brzmieć, oczywiście: „za racji dobrego uzbrojenia”, bo jeszcze dzisiaj oddziały chińskie są źle wyposażone w porównaniu z wzorowym wojskiem cesarza. Tajemnica nie leży też w tym, że się Chińczycy lepiej uzbroili po roku 1937, jako że kraj o czterystu pięćdziesięciu milionach mieszkańców przedstawia ogromne trudności organizacyjne, a zwłaszcza jeżeli ktoś chce osiągnąć cel w krótkim czasie i podczas wojny. Racja, dla której Chińczycy ośmielili się sprzeciwić Japonii, niezmiernie trudna ówczesna, która by chciała zagrozić drogę tygrysowi z wynikiem zwycięskim — leży we fukcie, że pierwszy raz od r. 1911 zjednoczyli się pod znakiem cywilizacji nowoczesnej. Jeśli powiedzenie „w jedności siła” jest prawdziwe, ów prawdę jasno widać w odrzuceniu się przastarego narodu chińskiego.

Alc, jak już wspomnieliśmy wyżej, owo zjednoczenie chińskie w r. 1937 nie było jeszcze pełne i bez napaści japońskiej, z całym prawdomoibiśtwem Chiny jeszcze dzisiaj byłoby pod panowaniem różnych generałów z dziesięciu pólnocnych. Napor japoński jednak zmusił synów Niebieskiego Cesarstwa do ścisłego połączenia się, tak, że dowódcy, którzy by dawniej nie czynili się nie dalo ruszyć z jednej prowincji do drugiej, sami przerosli się teraz w

patriotycznym entuzjazmie na front, żeby walczyć z wrogiem kraju; inni zaś generałowie, którzy na odwrot nie chcieli ruszyć swoich wojsk z okupowanych prowincji, walczyli zjadnie na miejscu przeciw najeźdźcy, który porwał na ich „własność”. Los chciał, że tym razem generałowie, gdyby nawet nie mieli najmniejszej ochoty bić się, ani poświęcać własnych żołnierzy i „własnych prowincji” i tak musieli przyjąć prowokację japońską, lud chiński bowiem zaczynał być patriotyczny i przemawiać głośno, uniemożliwiając jakikolwiek bierny postawę. Walka działająca prywatnie oddziały generałów, ocalać przeciw jedną rzecz: wspólną sprawę Chińczyków i narodów wojennych, bijących się jeden z boku drugiego przeciw tyranii. Zniszczenie wojsk prowincjonalnych, mających uzbrojenie i przeszkolenie zupełnie różne od wojsk rz. l. centralnego, albo, żeby użyć terminu z wojny, jako naczelnego dowódcy i przestawiając wojsko narodowe. Zadanie, co polegało na reorganizacji oddziałów wielozadaniowych w sposób jednolity, co musiało być silną siłą oporu przed nieprzyjacielem.

Chiny powinny dziękować Japonii, że przyczyniła się — nie zdając sobie z tego sprawy — do wyłączenia owych przewodników i ich sił prywatnych, umożliwiając dzięki temu opór, który do dziś nie ustał, i który skończy się z klęską tego, kto pierwszy wycofał szpadę.

Tylko Japonii zawdzięczają Chiny osiągnięcie jedności i utworzenie doskonałych żołnierzy, jakich widzieliśmy w bitwie o Szanghaj i we wspaniałym zwycięstwie w Taieulchuan, w licznych walkach o zdobycie Czangszu, a niedawno w walce o Hangyang.

Aby nie oskarżano Chin o niewdzięczność, ofiarowując oni Japonii wielki grób, naturalnie wykopany przez samych Japończyków, żeby nie uraził honoru samurajów! A nawet Chiny dadzą swoim wrogom grób jeszcze głębszy i większy: jeśli dla nich kopany w ziemi grób okaże się za szczupły, będzie można pochować żołnierzy Wschodzącego słońca w Pacyfiku.

I tak Japonia stanie się szczupłą, podobnie jak według życzenia Mussoliniego stać się miała Włochy po stracie Afryki. Tak postanowiono na konferencji w Kairze i Chińczycy oraz ich anglo-amerykańscy sprzymierzeńcy tego dokonają.

Dzięki samej jednak tylko jedności Chińczycy nie potrafiliby jeszcze oprzeć się, wobec przewagi środków i organizacji wojska japońskiego, gdyby nie dwa inne, sprzyjające sprawie chińskiej czynniki, jak dobra chińska ziemia oraz jej niezliczeni, a pracowicie synowie. Bezkrzesne rozmiary terytorium chińskiego dobrze może wykorzystać z punktu widzenia wojennego ten, kto je posiada i umie się z nim obchodzić. Plan strategiczny musi być następujący: ustępować w terenie, aby wygrać na czasie, potrzebnym do przygotowania nowego wojska i nowych linii obronnych w głębi kraju.

W rzeczywistości Japończykom, którzy doszli do głęboko załębieni w Chiny w pierwszych latach posuwania się naprzód, podobnie jak Niemcy w Rosji, nie udało się później postąpić ani kroku więcej. Nie ma w tym jednak nic dziwnego, że Nipponczycy dokonawszy dziesięciu dziesiątych swego dzieła, nie zdołali dokonać małych brakujących reszty. Owa nieudolność za leżała od innego jeszcze faktu, a mianowicie od trudności terenu, pobawionego sieci komunikacyjnych. Miejscowości, gdzie się znajdują Japończycy w Chinach, leżą zawsze w pobliżu nielicznych kolei, wielkich rzek i wielkich portów, tylko tam bowiem może dotrzeć ich nowoczesna maszyna wojenna. Poza tymi strefami, pomimo nieuniknionych wydarzeń wojennych, Chiny są zawsze w rękę Chińczyków.

Na również Chin pólnocnych Japończycy mogli się posunąć łatwiej i szybciej, w Chinach za to południowo-wschodnich, na wet bliko wybrzeża, bardziej dostępnego dla marynarki Mikado, udało im się utrzymać jedynie kilka portów, a to dlatego, że teren jest gorzyszy i trudny do zdobycia. Wzdłuż Rzeki Błękitnej Japończycy przeniknęli dość głęboko, a przecież nie zdołali nigdy, pomimo wieloletniego wysiłku, pokonać ostatniego odcinka tejże rzeki i zać zać Czang Kung, główną kwaterę chińskiego oporu, znowu z powodu gorzyszego terenu bez dróg oraz dla strumieniowego charakteru rzek i jej części. Odwrotnie

niż nad Rzeką Błękitną, gdzie Japończycy przeniknęli w głąb kraju, na Rzecz Żółtej nie wiele mogli dopiąć wobec niemożliwości użycia na niej wielkich okrętów wojennych.

W każdym razie Chiny nie miały i nie mają żadnej istotnej linii obrony, bo ze względu na ogrom terenu jest ona nie-możliwa. A zresztą w nowoczesnej wojnie żadna linia obronna, a szczególnie na wielkiej przestrzeni, nie jest w stanie zatrzymać armii bogato wyposażonej w środki i ludzi, jak to widzieliśmy przy linii Magenta. Rzeki również stanowią nieznaczne przeszkody, jak tego dowiodły postępy Niemców w Rosji i dzisiejszy ich odwrot ku Berlinowi. Za najlepszą obronę trzeba dziś uważać rozległość terenów.

Niemniej jednak teren bezkresny nie mógłby stawić poważnego oporu bez tego czynnika, jakim jest człowiek. Ludzi Chinom nie brak, podobnie jak Rosji. Można one bez ostanku wysłać nowe oddziały na nowe fronty, jednym słowem nie istnieje problem rezerw. Problem, który tak bardzo niepokoił dzisiaj Hitlera i jest jedną z najważniejszych przyczyn jego klęski.

Czang-Kai-Szek oparł przeto swój plan strategiczny na podstawie terenu i efektywności.

Sama jednak strategia bez towarzyszącej jej dobrej taktyki nie wystarczyłaby Chinom, żeby się mogli oprzeć Japonii. Jakiej taktyki użyli Chińczycy w tej bardzo długiej walce? Taktyki stawiania oporu, kiedy jest on możliwy, nawet przed utworzeniem linii frontu, a cofania się kiedy jest rzeczą oczywistą, że opór byłby daremny. Przez to oszczędza się siły by użyć ich na nowo przy pierwszej sposobności, czy to na froncie, czy na tyłach linii frontu. Chińczycy prowadzą zarówno wojnę podjazdową, słynną wojnę partyzancką, która dała doskonale wyniki w obrzyskiej Rosji i gorzyszej Jugosławii. Wystarczy ją obserwować w obu tych krajach, żeby zrozumieć, co może ona oznaczać dla Japończyków w Chinach.

W długiej walce Chińczycy bronią zjadale miasta, wiedząc, że każde miasto stać się może fortecą, a każdy dom fortem. Obrony miast pozwalają zyskać na czasie i dużo kosztują nieprzyjaciela. Owa taktyka jest pożyteczną szczególnie wówczas, gdy się nie ma przewagi środków technicznych. — Bitwa o Szanghaj w r. 1937 i obrona Czangszu stanowią typowe dla Chin przykłady tej taktyki.

Chińczycy operują się zwycięsko Japończykom jeszcze i dlatego że nauczyli się od wroga sztuki prowadzenia wojny, albo ściślej sztuki zabijania. Długa wojna nie sprzyja napastnikowi, który liczy na wojnę błyskawiczną. Sekrety techniki wojennej i planów strategicznych wychodzą z czasem, siły rzeczy, na jaw, wyjawiają się same. Często wynalazek wojskowy, na który potrzeba było całych lat pracy, zostaje łatwo wykorzystany przez wroga już po pierwszej potyczce. Na polu taktyki, zwłaszcza napadnięty, choćby nawet nie przygotowany, może w miarę przedłużania się wojny wielu rzeczy nauczyć się od lepiej wyposażonego przeciwnika. Napadnięty zawsze w końcu używa taktyki i broni napastnika. Tak się działo w Rosji i w Chinach, jeśli chodzi o Francję nie spało o niej zjawiska w roku 1940, ponieważ europejskiej Francji brak było odpowiedniej ilości ludzi i terytorium, żeby mogła zastosować strategiczny odwrot, który by jej pozwolił na podjęcie walki we względnie krótkim czasie, jak to się działo w Rosji. Kto nie ma przestrzeni, nie zyska na czasie, czyli nie może nauczyć się od nieprzyjaciela sztuki prowadzenia wojny. Chiny, podobnie jak W. Brytania, jak Stany Zjednoczone i Rosja posiadają owe „rezerwy”; i dlatego trzymają się na nogach po pierwszym wstrząsie.

Należy przy tym wszystkim wziąć pod uwagę, że marszałek Czang-Kai-Szek operuje swój plan strategiczny na zasadzie ustępowania terenu, aby zyskać na czasie, liczy na własny tylko opór i nie myślał, że pewnego dnia Chiny będą walczyły przeciw Japonii wraz z innymi wielkimi mocarstwami, jak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, chociaż można było przewidzieć, że prędzej czy później wojna pomiędzy Anglosasami i coraz bardziej agresywną Japonią była nieunikniona. Rozwój logiczny wypadków pociągnął sprawę chińską za sprawą narodów zjednoczonych i Chiny znalazły niespodziewanie tak potężnych sojuszników wojskowych.

(Dokończenie art. na str. 3)

Na ziemi włoskiej i polskiej

LEGION POLSKI MICKIEWICZA*)

MIEROSŁAWSKI NA SYCYLIU*)

Zwycięstwo strony narodowej w Szwajcarii nad Sonderbundem wyprowadziło na scenę polityczną dawnych przyjaciół Mickiewicza; pisał do preza Genewy Fazio, aby nie rozsyłano wojska do domów, aby spod Friburga zwycięskie wojska szły przez Tessin do Lugano, do Como, do Mediolanu. W kilka dni po tym wezwaniu, Mediolanu obywatele powstali, i 18.000 Austriaków z Radeckim wyrzucili z murów miasta dając hasło do powstania w Italii ruchu; to przecie nie popchnęło Szwajcarów, zaślepionych swym szczęściem, naprzód; wspomnienia Mickiewicza przyjęło jako głos przyjaciela, ale tak bliski styczności pomiędzy Iosem Włoch, zaledwie dźwiękający się z tyłoliteńskich uśmiechów i łosm wolnej i zwycięskiej Helwety, nie widzieli, przyrzeczono przetrwać Lombard. Wencion pomoc w broni i ułatwienie przejścia przez Alpy ochotnikom

Powstanie cudowne Mediolanu zatrzymało stronnictwo wsteczne w Rzymie; Polacy zaczęli się gromadzić tłumnie około Mickiewicza, którego widzenia codziennie nabierały nowej wagi. Mówił polsko, upoważniona do tego kreku, przynosiła chorągiew polską, odłano orla srebrnego.

Niepodobna opisać zapatu, który nas ogarniał starszych i młodszych! Noc z 7 na 8 stycznia 1848, którą przepędziliśmy w mieszkaniu Mickiewicza, zostanie na zawsze obecna duszy naszej; było to godzinę szczęścia istotnego, jedynie od lat tylu. Pochód do Mediolanu, choćby w najnikszej nadziei, był postanowiony. Stary napoleoński żołnierz, Siódmiokowicz i dwunastu młodych artystów, bawiących dla nauki w Rzymie, zapisali się najpierw.

Przecież w duchu wiciu Polaków, którzy jakkolwiek radzi odwieczali Mickiewicza, nie było wiary w ruch i zwycięstwo ludów. Mówiono głośno, że Mickiewicz nie dojdzie do Mediolanu przed Austriakami, że niepotrzebnie narzuca siebie i młodzie, raz dżono czekać!

Aż tu wieść o rewolucji w Paryżu wpadła, jak posłannik niebios przychodził, aby podnieść i oświecić czynny rozpaczę pragnących Polaków, aby zatrwożyć i upokorzyć rachuby rozumnych i przyzwyczajonych. Nie wystraszono się publicznie załować Ludwika Filipa.

Zgromadzenia u Mickiewicza były coraz liczniejsze, nie szczędzono mu pochwał, przynawano mu wyższość. Zaczęło nawet powszechnie wierzyć w legiony, chociaż byli i tacy, którzy uważali krok ten za byzancyjski, za niepotrzebny; wierzyli, że emigracja powróci z Francji; do kraju dylizansami; że powróci do urzędów dawnych, do zagrabionych włości, że Sejm 1830 roku, zgromadzony w Paryżu, ogłosi niepodległość narodu i sam pośpieszy na ziemię ojczystą. Spór jedynie szedł o to, czy w Krakowie, czy w Warszawie ma zająć się powołne grono. Okropnie tu obłąkanie napędzało nas rozpacz; widzieliśmy w czynach i mowach tych synów zatracenia szereg bied naszych domowych, trudniejszych storków do zwalczania, aniżeli potęgi wszystkich razem wrogów. Czuliśmy to, że poświęcenia się naszego, że krwi naszej na okup ich nie wystarczy.

Tymczasem zbliżał się dzień dla Rzymu uroczysty, dzień przeniesienia tryumfalistnie relikwiarza z głową św. Andrzeja, apostoła słowiańskiego, do Watykanu. — Dzień ten był najważniejszy dla poświęcenia chorągwi naszej. Wysłaliśmy z mieszkania Mickiewicza (7 kwietnia 1848 r.) o godz. 10 rano, Edward Gierzycki chorągiew legii. Mickiewicz, otoczony kilkudziesięciu Polakami, postąpił za nią. Ulice były napalone ludem, z okien powiewały chorągwie i bogate kobierce. Chorągwie wszystkich cechów, w gronie całego urzędu, w bogatych szatach ciągnęły ku Watykanowi i stawały na placu. Drzwi wielkie były zamknięte, niedługo przybył Ciceronecchio na czele kilku tysięcy ludzi, spsstrzążących chorągiew naszą zdążył kapelus i szedł ku nam, znan o dobre Mickiewicza; dowiedziawszy się o wszystkim postawił nas na czele formującej się kolumny ludu i kazał podwoje bronzowe świątyni otworzyć.

Zagrzmiała dzwona na twierdzę św. Anioła. Weszliśmy do świątyni najpierw. Postępując zwolna wśród tysięcy zgromadzonego ludu, który się rozszedł na dwie, stanęliśmy przed wielkim ołtarzem.

Rozpoczęła się msza celebrowana przez jakiegoś kardynała, z całym majestatem

brzdu. Pius IX kłęczał w trybunie i modlił się gorliwie. Ukłękli wszyscy, jaś jak dobył się z piersi wszystkich przymotnych Polaków, jak za Polskę, jak do Boga, ostatni może jak Polaków do powagi kościoła, o zgwałcone największe prawa narodu, o ojczyznę. Godzina tej mszy, tej modlitwy, miała w sobie coś tak uroczystego, tak świętego, że w ciężkich chwilach życia, kiedy bijąc się wśród ludzi zimnych, duszy sił zabraknie, można się odwołać do niej o ratunek. Uczucie takie, modlitwa taka, napędzała chwile przedbojowe działo lechickich, kiedy już orły ich zwycięskie miały iść ku krwawej potrzebie. Półk, tym uczuciem przejęty, pokona każdą potęgę. Jest to chwila rozprawy Dawida z Filistynów olbrzymem.



Dzieci helgijskie na polskim czołgu „Orzeł“

Msza się skończyła, Pius IX szedł ku wielkiemu ołtarzowi, przed nim jego znakomna, za nim księża kościoła, okryci purpurą...

Postąpiłmy z chorągwią jeszcze kilka kroków, pod stopnie ołtarza, przy którym stał papież obrocy twarzą do ludu, i że zbliżonymi rękami modlił się: po chwili padano mu relikwiarz św. Andrzeja, ozwały się chóry głosów nieczłowiecznych. Zdawało się, że sklepienia olbrzymiego gmachu wysuwały się z karbow swoich. Papież błogosławił relikwiarzem, chorągwią lud. Jakiś głos się wyrwał z grona ludu: „Oto jest chorągiew narodu męczenników“. Papież na ten głos odpowiedział nowym błogosławieństwem.

Odnieśliśmy chorągiew legii do mieszkania Mickiewicza i resztę dnia każdy u siebie pozostał, żeby nie pozabawił rozrządzeniem duszy, pełnej tak uroczystego wrażenia.

Michał Chodźko

OCHOTNICY WŁOŚCY W POWSTANIU POLSKIM W R. 1863*)

Kiedy dzienniki rozniósł po świecie wiadomość o wybuchu powstania w Polsce, gęstsze serca włoskie niekłamany drgnęły współczuciem. Przypominano sobie, że niedawno ochotnicy polscy przelewali krew pod sztandarami Garibaldi i garstka wojowniczych młodzieńców z Bergamo postanowiła, bez względu na odległość, przeszkody i niebezpieczeństwa, spłacić dług wdzięczności względem dalekiego narodu, który tak samo jak Włosi walczył o wolność. Na czele 20 suchów, doskonale obeznanych z wojennym rzemiosłem, stanął płk Francesco Nullo, bohater z r. 1848, 1859 i 1860.

Malymi gromadkami przedostali się przez Austrię, kraj nieprzyjacielski i w końcu kwietnia dotarli do Krakowa, ale tam zdaniami pochwylił połowę i odstawił z powrotem do granicy włoskiej. Płk Nullo i gen. Józef Miniewski, przysłany przez komitet warszawski, zajęli się urządzaniem wyprawy. Dowódcą oddziału, złożonego z 18 Włochów (do Bergamończyków przylączyło się kilku ochotników z innych prowincji włoskich), 7 Francuzów i około 500 Polaków, objął Nullo, jako najwytrawniejszy żołnierz, Miniewski bowiem był bardzo

W następnym 1849 r. Mierosławski, który leń uchylał się od powinności wojskowej, zadowolony, że król w Neapolu utrzymuje dla bezpieczeństwa swej osoby oddział Szwajcarów i trochę wojska regularnego z krajowców. Gdy przyszło więc w Sycylii do chwycenia za broń w obronie swoich praw, nie było żadnych kadrow do stworzenia armii rewolucyjnej. Mierosławski, mianowany przez ministra wojny Lafarina naczelnym wodzem, robił co mógł, aby

zorganizować armię sycylijską; szło mu to z oporem, bo często nie słuchano jego rad i rozkazów, nie rozumiejąc potrzeby takiej a nie innej organizacji.

Sycylia liczyła wtedy około 2.200.000 mieszkańców, kilka ludnych miast, z których Palermo, stolica kraju, miała około 180.000, a Messyna przeszło 100.000 mieszkańców. Przy takim zaludnieniu cała przeszło dwumilionowa wyspa mogła się zdobyć przynajmniej na 60-tysięczną armię w obronie swoich swobód. Tymczasem Sycylijczycy zdobyli się zaledwie na 14.000 wojska wciągając w to milicję i oddział złożony z Francuzów i ochotników innych narodowości. Z tego trzecią część zaledwie można było nazywać mianem wojska. Reszta nie miała pojęcia o dyscyplinie wojskowej, o potrzebie słuchania swoich dowódców, którzy wzięli na swoje odpowiedzialność obrony i którzy jedni mogli zrozumieć potrzebę pewnych obrótów wojskowych.

Sycylijczycy mieli jednakże dosyć czasu

na zorganizowanie armii sycylijskiej; szło mu to z oporem, bo często nie słuchano jego rad i rozkazów, nie rozumiejąc potrzeby takiej a nie innej organizacji.

Sycylijczycy mieli jednakże dosyć czasu

na zorganizowanie armii sycylijskiej; szło mu to z oporem, bo często nie słuchano jego rad i rozkazów, nie rozumiejąc potrzeby takiej a nie innej organizacji.

„Pod osłoną ciemności zapuściliśmy się w tajemnicze gęstwiny borów — opowiada płk. Mazzoleni. — Po przejściu granicy Polacy zaśpiewali hymn, którego nastroj smutny i uroczysty zupełnie licował z powagą chwili i charakterem otoczenia. My cudzoziemcy przypuszczaliśmy, że to musi być modlitwa“. Następnie nam każdemu żołnierzowi po dużym bochenku razowego chleba, jedną żywność, jaką otrzymaliśmy podczas tej krótkiej a nieszczejśliwej wyprawy“.

„Pochód odbywał się w głębokim milczeniu, był zaś nader uciążliwy, gdyż musielibyśmy (Dokończenie art. na str. 4)

na zorganizowanie obrony, bo rewolucja ich zaczęła się w styczniu 1848 r., a skończyła ostatecznie w kwietniu 1849 r. Mając więc 13 miesięcy czasu, trzeba im było zdobyć się na tyle rewolucyjnego temperamentu, aby wszystkie zasoby materialne mieszkańców przekuć na oręż powstającego.

Tymczasem tyran neapolitański Ferdynand II wystawił 24.000 regularnego wojska i kilkanaście okrętów wojennych na poskromienie objętej powstaniem wyspy. Neapolitańczy pod wodzą Filangiergo wyładowali w okolicach Messyny w początkach września 1848 r. i zaczęli atakować miasto z trzech stron. Mieszkańcy Palermo, proszeni przez messyjskich o pomoc, wystali im zaledwie 1.200 lichej żołnierzy pod dowództwem płk. Lamasa.

Wojsko Ferdynanda II przy zdobyciu Messyny dopuszczało się wszelkiego rodzaju okrucieństw, paląc domy i mordując starców i kobiety, jak to niegdyś bywało w średnich wiekach.

Po upadku Messyny armia neapolitańska zdążyła wolno ku Catane, gdzie spotkał ją Mierosławski na czele trzech batalionów piechoty, jednej baterii artylerii polowej i jednego szwadronu jazdy, razem najwyżej trzech tysięcy ludzi, nie przyzwyczajonych stuchając swoich dowódców.

Trudno było Mierosławskiemu z tak szczupłymi siłami przez dłuższy czas stać skutecznie czoło regularnemu i kilkakrotnie liczniejszemu wojsku. Bitwa zakończyła się klęską Sycylijczyków. Zwycięscy wraz ze zwycięzonymi wkroczyli do miasta, gdzie przez pewien czas walka trwała jeszcze na ulicach. Mierosławski nie mogąc już dowodzić jako generał, bił się jako dzielny żołnierz i został dość ciężko ranny w szyję.

Po kilku tygodniach Palermo, miasto 180-tysięczne, już bez obrony, rozpuścił resztę regularnego wojska musiało wejść w układy z Filangierem, który w imię króla swego, Ferdynanda II, przyszedł powrócić wyspie swojemu konstytucyjnie. Tego przyrzeczenia Ferdynand II nie spełnił się dotrzymać w ciągu lat dziesięciu. Za to też syn jego, Franciszek II, w r. 1860, został prawie błyskawicznie wyrzucony z tronu przez Garibaldiego nie znajdując nikogo na swoją obronę.

Historyk Perrens kończąc swoje sprawozdanie o rewolucji sycylijskiej mówi: „Naród wtedy tylko ma prawo do niepodległości, jeżeli jest zdolny nie tylko ją wywalczyć, ale i bronić“.

Revolucja sycylijska podobna była w miniaturze do naszego powstania w r. 1830. Ludność wyspy składała się z trzech warstw. Naprzód ciemne, nie uświadomione, a zatem obojętne masy po wsiach, odpowiadające naszemu włościanstwu. Inteligencja po miastach, demokratycznie uspołeczniona, podobna do naszej śmięjkającej szlachty, utworzyła dwie izby: jedną wyższą, nazywaną szumnym senatem, a drugą niższą, nazywaną ciętą prawodawczym. Nareszcie trzecia warstwa, to frakcja arystokratyczna, skłonna bardzo do układów z nieprzyjacielem. Dwie te klasy widziały w rewolucji tylko zmianę dynastii i zagwarantowane przez nową dynastię swobody konstytucyjne. Mało się troszczyły o uświadomienie, zrewolucjonizowanie i podniesienie ludu. Totcz w chwili stanowiącej ludowi temu było obojętne, kto w Palermo i w Messynie będzie rządził. Czy swoją arystokracją, czy namiestniczym Ferdynanda II, którego inteligencja miejska wraz z frakcją arystokratyczną dekretem w marcu 1848 r. szumnemu zdekonstytuowała, tak jak nasze izby Mikolaja I w r. 1831, a nie pomyślały o tym, jakby się postawieniem silnej armii przed powrotem despotów zabezpieczyły.

Ostateczne układy z nieprzyjacielem prowadziła, tak jak i u nas, frakcja arystokratyczna. Po zajęciu Palermo Ferdynand II ani myślał dotrzymać warunków kapitulacji i rządził aż do śmierci despotycznie.

Stąd wniosek, że despotom wierzyć nie można.

Wojos zachowali dobrą pamięć o zasługach Mierosławskiego w jednej z ich uwag o niepodległość. W 18 lat po wypadkach powyżej opisanych podróżując po Włoszech, widzieliśmy w miastach włoskich portrety Mierosławskiego obok portretów Garibaldi, Mazzini, Cavoura, z napisem: „Un patrioto polacco“.

Henryk Gierszyński

*) Z broszury: „Generał Ludwik Mierosławski“ (Kraków 1913).

*) Z wspomnienia „Adam Mickiewicz i legjon polski we Włoszech“, (Paryż 1862).

*) Z „Przeglądu Historycznego“ (1907).

NA ZIEMI WŁOSKIEJ I POLSKIEJ

(Dokończenie art. ze str. 3.)

liśmy przedierać się przez gęstsze i zarosła, albo błądząc przez trzaskawiska. O świcie oddział stanął nad obszernym bagnem, w środku którego sterczała kępa; tam były zakopane skrzynie z bronią i odzież, przysłane przez Komitet Narodowy. Nas wczoraj pierwszych, posłaliśmy więc na kępę brnie w wodzie po kolana i otrzymaliśmy doskonale karabiny, pistolety i czerewce kosztujące. Włożyliśmy je z okrzykiem: „Niech żyje Garibaldi! Niech żyje Polska!” Cały oddział został należycie uzbrojony; Komitet Narodowy dostarczył nawet trzech amulek połowych, ale w niedostatku koni nie można było ich zabierać. Brakowało tylko dobrych oficerów; było ich kilku wśród nas; nie znając jednak języka polskiego nie mogliśmy polską dowodzić drużyną.

„Po dłuższym wypoczynku wśród żartów i śmiechu, ruszyliśmy w dalszy pochód przez błotniste lasy. My, cudzoziemcy, postępowaliśmy w przedniej straż, a dla uczczenia nas powierzono nam zwiadu polski z Matką Boską. Nazajutrz, 4 maja, kiedy w południe rozdzieliliśmy się obóz, placówki dały znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Półk natchmiast uszykowawszy oddział, gotów do przyjęcia bitwy, ale Rosjanie, może lękając się oskrzydlenia, po krótkiej wymianie strzałów zniknęli w lesie.

„Przed wieczorem udaliśmy się w stronę Olkusza dla połączenia się z innymi powstałkami. Po całonocnym marszu, koło Krzykawki wyszliśmy na gościniec, który przez Sławków prowadził do Olkusza. Droga była wygłębiona, skutkiem czego z jednej strony utworzył się rodzaj wału, stającą się gość się ku zarosłom. Z drugiej strony gościniec prawie dotykał lasu. Zatrzymaliśmy się tam dla wychinięcia, ale nie minęło dwóch godzin, kiedy huknęły strzały: znaczny oddział rosyjski, złożony z piechoty i dragonów, pod ostrą drzew zaczęły zasypywać nas kulami. Ukryci za wałem, odpowiadaliśmy im niegłośnie. Jednym z pierwszych rannych był por. Marchetti, a wkrótce potem Arancelli, który z Garibaldim był się w Sycylii.

„Półk Nullo chcąc wywabić nieprzyjaciela z lasu kazał zaprzęścić ognia; liczył na to, że wtedy można będzie uderzyć na bagnety i bez względu na wynik potyczki, podjąć do Olkusza, gdzie nie było wojska. Gdyby jakaś przeszkoda nie pozwoliła nam połączyć się z oddziałem powstańców stojącym o 7 mil stamtąd, można by skorzystało z bliskości granicy i powrócić do Galicji.

„Nie wszyscy Polacy zrozumieli rozkaz; na prawym skrzydle strzelanica nie ustawała; Nullo dosiadał konia i dwukrotnie przejechał gościniecem wzdłuż prawego skrzydła, machając szabłą, aby zaprzęścić ognia. Kula gwizdała w koło niego, a jedna trafiła w nogę wierzchołka. Pułownik padł razem z nim, ale nie poniósł szwanku. Pomógłszy mu wydobyć się z pod konia błagalnie go, żeby się nie narażał, a młody Polak, który służył mu za tłumacza: Chiras Noposkić! chciał przemocą wprowadzić go stamtąd. Nullo przeszedł na drugą stronę gościnca i nagle runął na znak, nie wydawszy jęku. Z przerażeniem podkoścyliśmy do niego, ale wszelki ratunek był daremny: kula ugodziła go w serce.

„Rozumiałem, jak opłakane skutki śmierci woda może pociągnąć dla całego oddziału i chcąc zapobiec zupełnej roz-

szepce, prosiłem Mniewicznego, aby nakazał odwrot. Powstańcy odcignęli się w porządku, nie napastowani przez Rosjan, którzy rozproszyli kryli się w lesie przypuszczając, że mają przed sobą znaczniejsze siły. Musieliśmy zostawić na gościniec zwołyko ukochanego ziemia i zajęć się rannymi: Marchettim i Arancellim. Wszliśmy ich na jedne dwa konie, jakimi mogliśmy rozporządzić i śpiesznie skierowaliśmy w gęstwiny lasu. Po uczynnym marszu przez bagno i zarosła wyszliśmy na otwartą przestrzeń, na której wznosił się tartak. Zaledwie zbliżyliśmy tam rannych, huknęły strzały: Rosjanie okryli nas. Półpochy zapanował wśród naszych, wszyscy w nieładzie rzucili się do ucieczki, a kilku moich rodaków wpadło w rycie nieprzyjacielskie. Czerwiek wywieziono na Sibirję, jeden zaś Caroli, umarł w Trukku.

„W moich oczach kłóczy dopadli młodzieńczego Polaka, rannego w nogę i przesyłającego go bagnetami. Nie mogłem nawet pomóc biednego chłopczyka, gdyż nie udało mi się na plecach rannego Marchettiego. Po niesłychanych trudach przeszliśmy z powrotem granicę, ale tam pochwycili nas

straże austriackie i zaprowadziły do Chrzanowa. Marchetti został otoczony najtrudniejszą opieką w domożnych państwa Ilorawicy, mimo to zmarł drugiego dnia wieczorem. Ponieważ jego dął sposobność do wielkiej manifestacji narodowej: kilka tysięcy ludzi z miasteczka, z okolic, a nawet z Krakowa, szło za trumną, ażeby uczcić

młodego Włocha, który zginął za wolność. „Mnie i moich ziomków, schwytych na granicy, odstawiono pod strażą do Krakowa, a potem do Bergamo. Na dworcu krakowskim żegnali nas tłumy z niepisanyim zapamię, my zaś powiewając kapeluszami wolałymi: „Niech żyje Polska!”

Zofia Sekołowska

„NULO I JEGO TOWARZYSZE“ *)

Zawalone przez wrogów lub przez naszą własną gnusność, płyną w ciemnościach mroku czyste wody naszej narodowej kultury. Mamy pod nogami czarodziejskie złoje, o których nikt nie wie i z których nikt nie pije. Oto na przykład historia zastępy Włochów, którzy z Franciszkiem Nullo przysilił się o naszą wolność. Kpt. Paolo Mazzoleni, Ella Marchetti, Angelo Christofoli, Luigi Testa, Febo Arancelli, Alessandro Venzano, Giovanni Belotti, Ambrogio Gioppino, Ajace Sacchi, Giuseppe Diani, Geronio Galderini, Emanuele Marconi — wszyscy z Bergamo, hr. Pietro Laderchi i Francesco Parazza z Faenzy, Carlo

Pizzaferreri z Mantui, Giacomo i Lucio Meul z Viadany, Ernesto Bendi z Strylli, Giuseppe Clerici z Como. Jakaś całopłona ofiara może się porównać z ofiarą życia, którą zbliżył Polsce Luigi Caroli, magnat, bożyszczko kobiet, idący w syberyjski drogę w zawieszonym kożuch, śpiący wśród zbrodniarstwa na plugawych dyłach „piersyszki”. Coż mu dany za jego sny o zaślubieniu słoneczu, gdy koscienicą ocierał patrzył aż do śmierci okrutnej w śniegi pustymi syberyjski?

Siefan Żeromski

*) Z „Elegij” (Warszawa 1932).

AKCJA I. SAMODZIELNEJ BRIGADY SPADOCHRONOWEJ POD ARNHEN

1. samodzielna brigada spadochronowa pod dowództwem gen. bryg. Sosabowskiego wchodzi w skład I sojuszniczej armii powietrznej, dowodzonej przez gen. U.S.A. Bretona.

W akcji pod Arnhem brigada była taktycznie podporządkowana I brytyjskiej dywizji powietrznej pod dowództwem gen. maj. R. E. Urquarta. Operacją wojsk powietrznych w Holandii kierował gen. Browning, zastępca gen. Bretona i dowódca korpusu powietrznego, w skład którego wchodziły amerykańskie, brytyjskie i polskie wielkie jednostki walczące na tym terenie działań.

Działanie pod Arnhem zaczęły się w dniu 17 września 1944 r. desantem dwóch brygad bryt., które zajęły część miasta Arnhem i mosty na dolnym Renie.

18 września wyładowała jedna brigada bryt. oraz rzut spadochronowy, w skład którego wchodziły pierwsze elementy brygady polskiej: służba łącznikowa i części artylerii ppanc. Straty nie poniesiono.

19 września przybył ostatni — główny rzut spadochronowy zawierający gros oddziałów spadochronowych i ciężkiego sprzętu oraz broni brygady polskiej — resztę dział artylerii ppanc., części łączności, saperów, służby zdrowia i zaopatrzenia. Lądowanie spokoła się z silną opozycją niemiecką. Ogólna sytuacja wojsk powietrznych pogorszyła się niezmierznie. Utracono zdobyte mosty — w rękach szprymercielów utrzymała się jedynie przeprawa i prom na zachód od miasta.

Wszystkie powyższe wymienione desanty zostały przeprowadzone na północnym brzegu rzeki.

Rzut spadochronowy brygady polskiej, a więc gros jej sił — miał według pierwotnego planu wyładować w dniu 19 września na północie od rzeki, naprzeciw mostów, które miały być opanowane. W rzeczywistości znajdowały się one z powrotem w rękach niemieckich. Start brygady nie mógł dojść do skutku ze względu na złą

pogodę w rejonach wylotowych i na trasie.

20 września pogoda jeszcze nie pozwoliła wystartować. W tymże dniu na lotnisku brigada otrzymała zmieniłone zadanie: wyładować na zachód od poprzedniego lądowiska i przeprowadzić się na północny brzeg za pomocą promu opanowanego przez dywizję.

21 września nastąpił start. W czasie przelotu desant odwołano — znow na skutek złej pogody. Rozkaz dotarł tylko do części samolotów. Niemal połowa zawróciła do bazy w Anglii, w tym jeden cały batalion. Reszta wyładowała na wyznaczonym lądowisku, napotykała na opór Niemców. Straty przy lądowaniu były lekkie. Teren lądowiska aż po rzekę oczyszczono z wojsk nieprzyjacielskich. Też nocy brigada udała się na przeprawę. Okazało się, że dywizja utraciła przyczółek, a prom został zatopiony przez Niemców, którzy pożyli na rzekę silny ogień artylerii, moździerzy i karabinów maszynowych. Brigada nie posiadając środków do forsowania rzeki okopała się na północnym brzegu w miejscowości Driel tworząc obronny „jeża” — podobnie jak zdołała wykonać dywizja (z polskim rzutem spadochronowym) w miejscowości Oesterbeek po drugiej stronie rzeki. Oba „jeże” odgradzała rzeka i „ziemia niezjała”.

22 września piechota niemiecka oraz samochodny pancerny wspierane przez artylerię i moździerze z rzeki zaatakowały brygadę okopaną w m. Driel. Tymczasem do brygady dotarł przetrzymywany przez wojska niemieckie bryt. patrol samochodów pancernych i wziął udział w obronie. Walki trwały przez cały dzień ze stratami po obu stronach. Wieczorem dotarły pierwsze zwołyki brytyjskie. Też nocy brigada podjęła drugą próbę forsowania rzeki. Przeproważono za pomocą trzech posiadanych gumowych łodzi niecałą kompanię. Poniesiono straty.

23 września otrzymaliśmy od wojsk lądowych nieco sprzętu przeprawowego (8 dre-

wnianych łodzi) i słabą osłonę ogniową. brigada ponowiła w nocy przeprawę przez Ren. Przeprowadzono niecały batalion i część kawalerii głównej. Świat huraganowy ogień nieprzyjaciela przerwał przeprawę. Poniesiono duże straty. W ten sposób na północnym brzegu rzeki znalazło się ogółem około 40 proc. Polaków walczących pod Arnhem.

24 września miała przeprowadzić się reszta brygady oraz bryt. batalion piechoty „Dorset”, którego zadaniem było uchwycenie przyczółka. Lądowe siły własne położyły na miasto półnyż ogień artyleryjski, ale nie przegłoszły ognia broniącego przeprawy na Renie. Bryt. batalion przeprawił się przez całą noc używając całego posiadanego sprzętu przeprawowego. Unie, umożliwiło to brygadzie przekroczenie rzeki tej nocy.

25 września zapadła decyzja władz naczelnych zaprzestania kosztownych i bezowocnych przepraw — oraz ewakuacji resztek brytyjskich i polskich oddziałów z północnego brzegu.

W nocy z 25/26 wyewakuowano północny brzeg. Straty były ogromne.

W ciągu tych dni i nocy polska brigada walczyła po obu stronach Renu. Na północu osłanianie najbardziej eksponowane odcinki obrony „jeża” Oesterbeek. Pępance walczyły do ostatniego dnia. Na południu trwano pod silnym ogniem artyleryjskim i ciężkich moździerzy, który nie oszczędzał nawet szpitala zabijając szereg żołnierzy służby zdrowia i rannych.

Oddziały brygady, które zostały zawrócone z drogi w czasie przelotu, wyskoczyły w czasie północnym na południe od Nijmegen i dotarły do Driela w przeddzień, wycofania brygady z działań.

Reasumując wyniki działań brygady w operacji na Arnhem należy podkreślić fakt, że zajęcie i obrona przez nią kluczowej miejscowości Driel na północnym brzegu Renu nie dopuściły zorganizowania tam opanowania niemieckiego, a więc umożliwiły zorganizowanie ewakuacji.

Ogólna lista strat nie jest jeszcze ustalona ze względu na dużą ilość zaginionych, w każdym razie jest ponad 350 zabitych, zaginionych i rannych.

E. R.

CHINY I WOJNA

(Dokończenie ze str. 2.)

Obecnie, już po siedmiu latach walki, widać jasno, że Japonia nie udaje się rozgryźć chińskiego orzecha. Trzeba się jednak liczyć z tym, że Chiny będą pomocy z zewnątrz nie mogą wyrzucić Japończyków, ponieważ są niedostatecznie uzbrojeni i w porównaniu z Japonią, tak jak Japończycy są źle wyposażeni w porównaniu z Anglosasami. Dla tej przyczyny Japończycy mogli pozostać w Chinach, a Anglosas pokonał Japończyków na Pacyfiku, zdobywając jedną wysep po drugiej. Gdyby Chiny były nowoczesnie uzbrojone, zmusiłyby już dawno Japończyków do niejednego „strategicznego odwrotu”, którego by przez ich przeciwnieństwo do Gochbela nie podali według japońskiego zwyczaju do wiadomości publicznej. Japończycy zawiadają o posępiek w Chinach i posiadają milicjęm odwrotu; w tym należy upatrywać jedną z przyczyn, dlaczego zawsze posuwają się naprzód i nigdy im się podrożyć tej nie udaje zakończyć.

Japończyk z przyczyn technicznych i ekonomicznych nie są uzbrojeni tak dobrze

jak mocarstwa zachodnie i wojska japońskie mało są zmechanizowane i zmotoryzowane. Wozy pancerne mają, ale mało, samolotami rozporządzają, ale starych typów. Dlatego to niekiedy wobec znacznej przewagi przeciwnika na wodzie i w powietrzu i groźby śmierci, Japończyk używa taktyki ludzkiego pościgu. Obecna wojna dowiodła, że odważyć się towarzyszyć ich środków nowoczesnych nie jest w stanie wygrać partii. Widzieliśmy, jak skonczyli fanatycy w dżungli na Nowej Gwinei, na wyspach Salomona, Marshalla, na Karolinach i Marianach. Jeżeli ta zasada sprawdza się na Japończykach walczących z Amerykanami, musi się ona też sprawdzić na Chinczykach walczących z Japonią. Nie dość jest ubrozić Chinczyków w dziedzinie lotnictwa, jak to niedawno zrobiono, trzeba im dostarczyć w wielkiej ilości samochodów pancernych i artylerii, stowem ciężkiej broni.

Ustawa „lease and lend” zastosowana wobec Sowieków zaoszczędziła Anglosasom

mnóstwo życia ludzkiego, to samo dzieło się i dzieje, jeżeli chodzi o Chiny.

Japonia posiada zawsze jeszcze środek półnyż — swoją tradycyjną wojenną marynarkę. Musi się jednak wziąć pod uwagę, że marynarka japońska nie mogła w obecnej wojnie z Chinami wykorzystywać w pełni swojej przewagi, dla tej przyczyny, że Chiny były już na ośrodek daleko poza zasięgiem dział okrętowych. Dlatego też marynarka japońska używa się w Chinach wyłącznie niemal do dowozu środków dla wojsk inwazyjnych.

Obecna wojna dała nam też okazję do stwierdzenia, że marynarka jest bezsilna bez skutecznej pomocy lotnictwa. W Brytanii sama z całą swą potęgą marynarka bez lotnictwa musiałaby kapitulować w 1940 roku.

Stany Zjednoczone dzisiaj nie tylko posiadają przynajmniej przewagę na wodzie, ale i w powietrzu, co jeszcze bardziej przyczynia się do rozproszenia sił japońskich na wodach chińskich, utrudniając coraz więcej dowóz posiłków.

Kończy atak przeciw Japonii nastąpi z różnych stron, wyłącznie prawie z morza i powietrza i tym się zajmą Amerykanie. Zadanie zaś Chin będzie polegało na

dostarczeniu ludzi dla lądowania w Japonii. Chiny mogłyby służyć jako baza komasująca ludzi i środki narodów sprzymierzonych w ataku na kraj „Wschodzącego Słońca”, a zwłaszcza porty na wschodzie nadawałyby się doskonale na bazy wypadowe, bo wydaje się mało możliwym, aby sojusznicy chcieli wejść do Japonii, „drogą lądową” tzn. przez Chiny północne, Mandarię, Koreę i cięśninę Cuszim, skoro mają tyle okrętów i samolotów mogłoby osiągnąć cel wygodniej i bezpośrednio.

Oczywisty jest wniosek, że zadanie Chin w tej chwili polega na trzymaniu u siebie unteruchomionych Japończyków, zarówno po to, ażeby osłabić inne fronty półniskie, jak i po to, by pozwolić Anglosasom przetrzymać czas, w jakim skończy z Niemcami, zanim będą mogli skoncentrować wszystkie siły we wschodniej Azji.

Chiny spełniły swój obowiązek, aby obalić jednego z tyranów ludzkości i niezadługą wszędzie jego dzień, w którym Chinczyby będą maszerowali u boku sprzymierzonych po ulicach Tokio, zwycięzcy i triumfujący, że przyczynili się do przywrócenia pokoju i sprawiedliwości na ziemi.

C. S. Lin

KU CZEMU IDZIE RUMUNIA

(Dokończenie ze str. 1.)

własny swój eksport do Rzeszy, do czego przez 2 lata zmuszał ich Berlin otrzymując w ten sposób za darmo znaczną część towarów rumuńskich, bowiem przywoz komensacyjny z Rzeszy był wręcz znikomy. Rumuni przestali nawet w końcu finansować w lejach niemieckie wojska okupacyjne. Kurs oficjalny marki okupacyjnej wynosił 1:60, ale na wolnym rynku przyjmowano ją za ledwie po pół lea. Widywano więc w Bukareszcie żołnierzy niemieckich szbrzących o kawałek chleba.

Spotkanie w Wiedniu

Niemcom poczęli się tymczasem coraz wyraźniej usuwać grunt pod nogami: porażki na zachodzie, wschodzie i we Włoszech, zerwanie przez Turcję stosunków dyplomatycznych i handlowych z Rzeszą, wyraźne podmuchy rewolty w Bułgarii i Grecji.

3 sierpnia, na żądanie Hitlera, polecił marszałek Antonescu do Wiednia. Spotkanie odbyło się w pałacu belwiderskim, w którym 3 lata temu zbierał Ribbentrop hojdy satelitów, podpisujących posłuszenie „Pakt trzech”.

Hitler natarł gwałtownie na rumuńskiego Conducatora. Co oznaczają machinacje opozycji i tajne spotkania z Anglikami w Kajrez? „Jeśli Rumunia zamierza zdradzić — krzyknął Hitler — milion moich żołnierzy zmiażdży ją w mgnieniu oka!”.

— Nie ma Pan już miliona ludzi w moim kraju, a za ledwie połowę tej liczby — odpowiedział Antonescu.

Hitler, zapeşony, poczęł w końcu stawać warunki: 1) Antonescu musi wyowiedzieć się jasno, czy zamierza nadal wytrwać przy boku Rzeszy; 2) Rumunia winna oddać do dyspozycji Wehrmachtu nowe dywizje; 3) Rumunia zrywa stosunki z Turcją; 4) udziela Rzeszy pożyczki w lejach na finansowanie wojsk okupacyjnych.

Antonescu oświadczył, że zanim powołanie decyzji, musi mu Hitler wyjaśnić trzy punkty: czy Rzesza zobowiązuje się utrzymać przed wschodem, czy zabezpieczy Rumunię przed niespodziankami ze strony Węgry i czy pewna jest, że Bułgaria nie wypuści aliantów pierwsza na Bałkany.

Hitler odpowiedział, że front wschodni jest już definitywnie skonsolidowany, że Węgry ma w rękę i „utopi we krwi” wszelką próbę rewolty, w Bułgarii zaś „sytuacja wyjaśni się wkrótce w sensie dla Niemiec pomyślnym”.

Wówczas Antonescu, na którym pogroźki Hitlera zrobiły dość silne wrażenie, odpowiedział, że dochowa sojuszu, odrzucił jednak wszystkie żądania Hitlera z wyjątkiem udzielenia Niemcom pożyczki.

Po powrocie do Bukaresztu dawał Antonescu do zrozumienia opozycji, że trzeba czekać, bo odwet Rzeszy mógłby być bardzo surowy, a może tymczasem uda się Rzeszy utwierdzić front wschodni, co otwierałoby perspektywę zyskania na czasie i dalszego osłabienia Rosji.

Wypadki zadążyły jednak kłam przewidywaniom Antonescu. Armia czerwona ruszyła znów do ataku i przełamała front pod Jassami.

Rola grupy pałacowej

Wtedy na widownię wystąpił młody król Michał wraz z grupą pałacową złożoną w wyższych wojskowych i z kilku młodych polityków (Stareca, junior).

W porozumieniu z „Frontem” czterech stronnictw dokonano 23 sierpnia przewrotu. Antonescu, wezwany wczesnym popołudniem do pałacu, został tam internowany wraz z całym rządem. Król powołał gabinet koalicyjny, oparty jednak na wojsku. Premierem został szef domu wojskowego króla, gen. Sanatescu. Kluczowe teki objął 3 generałów. Maniu i Bratianu zostali ministrami bez teki, komunistą Petrascanu objął sprawiedliwość, 35-letni Niculescu-Buzesti — sprawy graniczne.

Cały przewrót odbył się bez uprzedniej konsultacji sprzymierzonej, bo nie było już na nią czasu. Nowy rząd ogłaszając kapitulację opierał się na warunkach zakonimowanych Rumunii jeszcze w kwietniu.

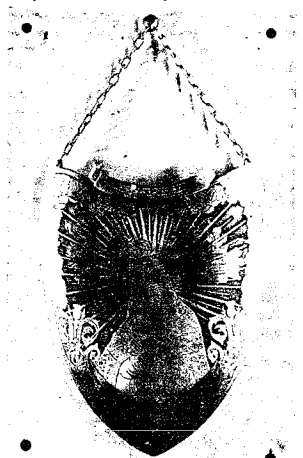
Chcąc zachować pozory wobec wczorajszego alianta, wezwano do pałacu gen. Hansena proponując mu kilkudniowy termin dla wycofania wojsk niemieckich. Hansen udał, że propozycję przyjmuje, gdy tylko jednak opuścił pałac, rozkazał swym oddziałom opanować Bukareszt. W ostrych walce, która wywiązała się między lotniskiem Bancasa a Snaagowem zwyciężyli Rumuni. Po odparciu ataku z zewnątrz, rozbroili garnizon niemiecki w mieście. Przez

48 godzin „Stukasy” bombardowały następnie centrum miasta a ze specjalną złością pałac, z którego zostały dala tylko popalone mury. Rumunia zareagowała na te ataki wypowiedzeniem Rzeszy wojny (24.VIII). Rząd, który spędził na dwie krytyczne doby w podziemiach Banku Narodowego, objął zarząd władzą i, przynajmniej trzeba, zdołał opanować sytuację. Armia zachowała dyscyplinę, a administracja nie dopuściła do ekscesów, mimo że na miejsce ustępującej okupacji niemieckiej nie od razu zainstalowała się sowiecka.

Dlaczego przewrót się powiódł? Dlatego przede wszystkim, że Niemcy zmuszeni byli wycofać w lipcu z Rumunii swe 3 najlepsze dywizje pancerne i znaczną część Luftwaffe. Powtórę, gros sił niemieckich (14 dywizji) skupionych na froncie mołdawskim, oflankowane było przez dwie armie rumuńskie. Gdy obie te armie przestały walczyć, Rosjanie okrzyczeli bez trudu i rozbili Niemców. W okresie kraju zaś Rumuni mieli niezbyt przewagę i w własnych siłach zlikwidowali liczne garnizony. Po trzecim, Niemcy nie mieli w kraju żadnego oparcia. Olozceń powszechną nieawiszcą, nie potrafilili skupić wokół siebie nawet oddanych im dawniej żywołów. Historyczne apele Horia Simy z „Donauşender” w imieniu „narodowego rządu rumuńskiego”, pozostały bez echa.

Narzucono przemocy „aliams” załamał się w ciągu jednej nocy. Warunki zawieszenia

broni, które uzyskała Rumunia, uchodzą za „korzystne”. Za Besarabię i p.in. Bukowinę otrzymać ma część lub całość (for-



Ryngraf ofiarowany przez Prezydenta RP. Wł. Raczkiewicza 2. Polskiemu Korpusowi

Przemówienie gen. W. Andersa nad mogiłą ś.p. ppłk Zbigniewa Kiedacza

„Kiedy przed chwilą usta nasze szeptały słowa modlitwy „Bądź wola Twoja!”... myśli biegła ku wielu tysiącom drogiom naszymu sercu towarzyszy broni, którzy z szeregów żołnierskich ubyli na zawsze.

„Mam teraz przed oczami postać ppłk Kiedacza, widzę jego zawsze uśmiechniętą twarz, widzę Go, stojącego na lewym skrzydle długiego zastępu naszych najbliższych, naszych przyjaciół i kolegów, powołanych przed oblicze Pańskie. Słyszę Jego tak częstą przyjaźń „Ku chwale Ojczyzny, Panie Generale!”.

„Tak. Ku chwale Ojczyzny oddałeś swe młode życie. Za honor, za całość, za niepodległość naszej Najjaśniejszej, za te wszystkie święte uczucia, za które umierali nasi koledzy z czasów zmagania roku 1939 i ci powstańcy bohaterkiej Warszawy i ci, co polegali w okresie walk od Monte Cassino aż po te góry. Często odpowiadał również „Ku chwale pulku” — pulku Ułanów Poznańskich, który był dla niego wszystkim, który był ukochaniem Jego największym.

„Polska straciła prawego obywatela, o wielkiej siłę charakteru, człowieka twardego, umiającego wziąć na swe barki odpowiedzialność. Korpus stracił jednego z najdzielniejszych oficerów. Ja straciłem

wybitnego dowódcę pulku, straciłem swego przyjaciela.

„Stanał On przed tronem Najwyższego, jako siódmy dowódca pulku Ułanów Poznańskich, który dziś z lepszego świata błogosławi czynom pulku. Wśród nich dwu poległo na polu chwały w 1939 r. Jeden zamordowany w Katyniu, jeden zamęczony w więzieniu łwowskim.

„Ale pulku podąga dalej marszem ulanśkim ku tej Polsce, o której śnił ppłk Kiedacz, o którą walczyły pokolenia całe i nie spocznie w swych wysiłkach znójnych i krwawych, dopóki Polska nie będzie wolna, cała i niepodległa.

„Straciłem przyjaciela, który umiał zawsze znaleźć wyjście w obliczu największego nawet niebezpieczeństwa. Straciłem oficera, dla którego nie było rzeczy niemożliwych do wykonania. — Zegnaj Cię dziś z serdecznym bólem Twoi przyjaciele i koledzy.

„Duch Twój unosi się tu na pewno w tej chwili koło nas. Pamiętaj drogi Zbysku, że idziemy twarzą drogi żołnierskiej dalej, idziemy dalej z tymi ideałami, które Tobie w życiu przyswilieliśmy, idziemy ku gruzom bohaterkiej Warszawy wykukując krwawą drogę powrotu, ze słowami, które Ty tak często wymawiałeś: „Ku chwale Ojczyzny”, „Ku chwale Pulku!”.

ALEKSANDER GROBICKI

Śpij kolego w zimnym grobie

Siedziałem na 706 w „schronie pod nieboszczkiem”. Z kolanami pod brodą, zły niolem, z łornietką przy oczach. Każde usiłowanie lepszego przyjrzenia się bunkrom na Widmie czy Angulo witane było seriami spandauów. Kulki jagostawie trzaskaly po kamienkach zasypując nas odpryskami i zmuszając do natychmiastowego nurkowania. Czasem pocisk moździerz kurzum i swędem prochu nas owionął. Poza tym jednak był spokój. Bezchmurne niebo lało na głowę żar słoneczny, niebożczy cuchnął, Niemcy za nie w świecie nie chcieli się pokazywać.

„Patrzaj — pełźnie ktoś...”

Rzeczywiście. O kilkadziesiąt metrów od schronu, na gołym stoku zwróconym w stronę Widma widzę jakis postać, ścieśniętą harcersku sunącą brzuchem po kamienkach. „Ułulka facet! Widzieć go muszę, przeczaj jak na dłoni!”

Machamy rękami. Postać przeucupnia i coś krzyczy. Nie słychać, bo właśnie artyleria grać poczęła i 675 ugodziło się do wulkanu. Przez chwilę zapomina o intrydze i obserwuje ogień. Gdy usną — polujący jest już o kilkanaście metrów. Nie ma nawet helmu. Śmieje się i pełźnie dalej.

„Panie do ciężkiej ch... przeczaj pana doskonale widać. Zaraz pluną spandau”m i szlus!

Coś tam krzyknął, podpełził jeszcze parę metrów i młodzieńczym skokiem dopadł naszego schronu.

Usadowił się w nim bezceremonialnie (na dwóch małych miejscach a co dopiero na trzech), otarł pot z czoła i przedstawił się:

„Jestem kapitan Bączkowski z A.D. Mam najczulszą artylerię brytyjską wstrzeliwać bunkry na Widmie”.

Poznałem Go. To ten sam, (tylko, że wówczas był jeszcze porucznikiem), który w upalne Quassasińskie południa zakłócił nam spokój jakimis wykładami o „Byskawicach”, „Piorunach” i innych „Ekspresach” czy „Słimakach” (metody strzelab artylerijskich). Kleiśmy go wtedy niecie.

Wyglądał zadowolony, w swoim sosie. „W hemic nigdy nie chodzę. Człowiek naczytłem się jeszcze w harcerstwie — a spandau... W Polsce mnie nie dostali, to i tu nie dostaną. Wierzę w swoje szczególności”.

Patrzałem na niego spod oka sprawdzając, czy nie buja — ale nie. Oczy mu się śmiały, broda wysuwała zaborczo do przodu, ale nie bujał. Był chłop w swoim żywiole.

„Niech się pan nie wychyla. Zobaczą i zacząć zaraz strzelają”.

„Co tam! Muszę strzelać — to ważniejsze. (Dokończenie na str. 7.)

muda nie jest ścisła) p.in. Siedmiogrodu. Piaci Sowieciom zdobyli 300 milionów dolarów i to w towarach. Wystawia 12 dywizji do walki z Niemcami i Węgrami. Rosja zapewnia jej niepodległość. Takie są obietnice! Jaka będzie rzeczywistość?

Co dalej?

Już artykuł „Timesa” z połowy października mówi wyraźnie o uznaniu Rumunii, Bułgarii i Jugosławii za sferę interesów sowieckich. Ponadto — armia czerwona jest w kraju i nie wiadomo jak długo w nim zostanie. O żadnych wspólnych gwarancjach trzech głównych mocarstw nie jest słychać. A wreszcie — zawieszenie broni to jeszcze nie traktat pokojowy. W każdym zaś razie o przyszłości Rumunii zdecydowały nie pisane teksty, ale to, jaką manowicie strzeż wolności wewnętrznej pozostawi jej się w praktyce. Czy w wolnym głosowaniu będzie Rumunia mogła wybrać sobie ustroj odpowiadający liberalno-demokratycznym instynktom mas rumuńskich?

W chwili gdy piszemy te słowa, pierwsze trudności wewnętrzne już poczynają się ujawniać. Cały kraj chciałby widzieć rząd polityczny a nie quasi-wojskowy, jak obecnie. Sęk w tym, że politycy porozumieć się nie mogą. Komuniści i socjaliści dopro. wadzili do otwartego już prawie kryzysu rządowego, domagając się natychmiastowych reform i czyski w administracji, parcelacji własności ziemskiej ponad 50 ha, rozbudowy ustawodawstwa socjalnego, ukarania zbrodniarzy wojennych i kollaborantów. Maniu i Bratianu godzą się na te reformy, ale chcą je przeprowadzić przez parlament. Parlamentu zaś na razie nie ma. Przywrócono moc konstytucji z 1923, związane z nią jednak prawo wyborcze wyłącza system rządów koalicyjnych: stronnictwo, które skupi 40% głosów, otrzymuje automatycznie premię, zapewniającą mu absolutną większość mandatów. Jest jasne, że gdyby wybory zarządzono dzisiaj, komuniści i socjaliści wyszliby na nich kłepsko. Praktycznie biorąc obie te partie nie istniałyby dotychczas w Rumunii jako zorganizowana, poważna, szła siła. Muszą więc dziś na gwałt tworzyć sobie stronnictwa, co nieuchronnie prowadzi do demagogii. Gdzie szukać stronnictw? Luzem chodzą i są „do wzięcia” epigoni żelaznej gwardii. Narybek to jednak niebezpieczny. Z jednej wale strony komuniści zawieszili na razie wszelkie wpisy do partii, z drugiej zaś strony zaczęli cichy pakt z grupką komunikujących karierowiczów Rallea z Tatarescu. Obaj ci panowie należeli wprawdzie do najgorliwszych wykonawców totalistycznych planów Karola II, ale kto by dziś o tym myślał! Ku komunistom grawituje też tzw. „Front Unii Patriotów” niejakiego Vladescu-Racosa, skazanego rok temu wraz z 20 innymi na wieloletnie więzienie za propagowanie kapitulacji! A przy tym wszystkim właściciela partii komunistycznej, choć kierowana przez dwóch typowych inteligentów — adwokat (Petrascanu) i profesor uniwersytetu (Constantinescu-Iasi), zastrzega się z góry, że inteligentów przyjmować nie będzie. („Doloty gramoty!”).

Skrzydło demokratyczne obecnej, kruchej koalicji jest na razie na pewno najsilniejsze. Maniu zwłaszcza, człowiek nawskroś uczciwy, dziery w tej chwili niepodzielnie rząd dusz. W obecnej jednak sytuacji nie ma on oczywiście materialnej możliwości zmobilizowania tych wszystkich sił społecznych, które stoją za nim. Trzecim wreszcie elementem jest dwór i armia, których zresztą politycznie nie można całkiem ułtożamić. Król lęka się oczywiście, by żywioły ekstremistyczne w rządzie nie wzięły góry, gdyż wtedy los monarchii mógłby być zagrożony. Podobnie i armia, a raczej jej szefowie, widzą dla siebie to niebezpieczeństwo. Trudno jednak przypuszczać, by król próbował dziś szukać oparcia w samej armii. Będzie on działał raczej przez stronnictwa demokratyczne.

W tej powikłanej sytuacji zaważyć może decydujący tylko Rosja. Jeśli zdecyduje się udzielić czynnego poparcia komunistom, mogą oni w końcu opanować rząd, mimo że mają za sobą tylko bardzo nieznaczne siły w społeczeństwie. Wystarczy przyskrolić odpowiednio ordynację wyborczą, aby z urny wyszedł parlament dowolnego koloru *).

Balcanicus

*) Już po otrzymaniu niniejszego artykułu przyszły wiadomości o dalszej „demokratyzacji” rumuńskiego rządu, do którego już nie weszli Maniu i Bratianu. — Red.

CZWARTA KADENCJA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Przedłużenie kadencji rządów prezydenta Roosevelta na dalsze cztery lata nie ulegało wątpliwości. Trudno było przypuścić, by Amerykanie w czasie wojny zmieniłi szefa państwa, który jednocześnie jest naczelnym wodzem sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Roosevelt stał się prezydentem wojny, którą musi zakończyć zwycięstwem. Taką jest wola ludności amerykańskiej. Uważa ona, że prezydent prowadzi wojnę dobrze, przeciwieństwo do przekoślenia Amerykanów pierwszy wykroczył na ziemię niemiecką, a ich desant na Filipinach musiał wzbudzić nowe nadzieje. Roosevelt ma zwyciężyć, a co będzie po zwycięstwie? Czy wówczas Amerykanie nie poszukają sobie innych wodzów porządkujących, którzy prowadzili ich w czasie walki i których nazwiska zrosły się z przykrośkami wojennymi? Byłoby to zgodne ze zwykłą koleją lasów w krajach demokratycznych...

Już obecnie rywal prezydenta Roosevelta, gubernator Dewey, zyskał stosunkowo znaczną ilość głosów, świadczącą o wzrostu opozycji. Skupili on w koło siebie niezadowolonych nie tyle z prowadzenia wojny — bo zagadnienie to było w akcji wyborczej bezsporne — co z wzrastającą wszechwładzą państwa, która zaznacza się w związku z funkcjonowaniem „new deal”, gospodarki wojennej, a także dwunastoletnich już, nieprzerwanych rządów tak wybitnej indywidualności, jaką jest Roosevelt. Oskarżenia jego rządów o krępowanie inicjatyw prywatnej, a nawet o tendencje dyktatorskie, wysuwane były często w agitati wyborczej.

Opozycję stronniotwo republikkańskie wytykało nawet rządzącym demokratom uchybienia w stosunku do demokracji. Również więc w Stanach Zjednoczonych ektykiety partyjne bardzo strachy na znaczeniu. Na ogół republikanie uchodzili dawniej za odpowiedzialnych prawicy, a demokraci — lewicy. Dziś jest raczej odwrotnie i to nie tylko ze względu na rolę rolniczych, z natury rzeczy „reakcyjnych” stanów południowych, wywierających pod egidą Cordella Hulla silny wpływ na rząd i na partię demokratyczną. Republikanie wszakże stali się obrońcami inicjatyw prywatnej, a więc wolności, demokracji zaś — wytycznych gospodarki wojennej.

Dawniej demokraci byli wyznawcami Li Narodów, która miała zabezpieczyć prawa małych narodów. Dziś są zwolennikami przede wszystkim ścisłej współpracy trzech największych mocarstw, a w obronie państw mniejszych, w tym i Polski, wystąpił ostatnio właśnie p. Dewey.

Z tym wszystkim jednak w praktyce różnice między obu partiami w dziedzinie polityki zagranicznej są nieznaczne. Prezydent Roosevelt i jego sekretarz stanu Cordell Hull starannie uzgadniają zasadnicze posunięcia na arenie międzynarodowej z partią opozycyjną, by nie znaleźć się w pewnej chwili w próżni, jak to zdarzyło się po tamtej wojnie prezydentowi Wilsonowi, którego projekt Ligi Narodów został obalony w Ameryce przez opozycję partii republikkańskiej.

A przed prezydentem Rooseveltem stanęły w czwartej jego kadencji decyzje niezmiernie doniosłe, bo związane już z organizacją pokoju. Zapowiedziane na koniec tego roku spotkanie prezydenta z premierem Churchilliem i Stalinem, spot z spraw europejskich, z niemiecką i polską na czele, trudności na konferencjach międzynarodowych w Dumbarton Oaks i w Chicago, komplikacje w Iranie, kłopoty w Chinach — wszystko to będzie wymagało decyzji. Oczywiście kampania wyborcza mogła krępować prezydenta w różnych wypowiedziach oficjalnych. Dziś powinien on być znowu niezależny od wyborców radykalnych, a nawet komunizujących, z którymi musiał się liczyć. Będzie on mógł znowu zabierać głos z zupełną swobodą, jaką mu daje jego praca osobista oraz potęga Stanów Zjednoczonych.

Sowiety i Japonia

W tym samym czasie, gdy dokonywały się wybory prezydenta Roosevelta, przemówił w Moskwie Stalin. Mowa jego, zakończona zapowiedzią zaknięcia przez armię czerwoną „szlandarów zwycięstwa” w Berlinie, zwielała szereg ciekawych momentów.

Wystarczy tu wskazać na pochwałę ustroju komunistycznego w Rosji, na podkreślenie, że alianci zachodni wciąż tylko trzęciły częścią dywizji niemieckich, na co prasa brytyjska odpowiadała, że tą miarą nie można określać wysiłków poszczególnych „sojuszników itd... Stalin w toku przemówienia wielokrotnie powracał do konferencji teherańskiej z grudnia 1943, jak gdyby chciał przypomnieć jej znaczenie i ciężką aktualność dla polityki sowieckiej. Nie ukrywał, że na konferencji w sprawie bezpieczeństwa w Dumbarton Oaks powstały pewne „różnice zdań” między Rosją a mocarstwami anglosaskimi. Wskazywał także

na rolę trójporyozumienia anglo-amerykańsko-sowieckiego, wobec którego nie dostrzegali już żadnych trudności europejskich. Wszystkie inne zagadnienia polityczne mknęły w oczach Stalina wobec tego „sojuszu wojennego”.

Najciekawsze wszakże było odczytanie się jego o Japonii, którą nogic zaliczył do „państw napastniczych” twierdząc, że „inocydenci” w Pearl Harbour nie był przypadkowy. Prasa amerykańska przykłada dużą wagę do tej wypowiedzi, jak i do zerwania przez Rumunię i Bułgarię, zapewne za zgodą Rosji, stosunków z Japonią, a także do głosów prasy sowieckiej, wskazujących obecnie, jakby na zawołanie, na trudności Japonii. W taktyce sowieckiej tego rodzaju odczytania mogą mieć różne znaczenie. Na razie wszakże należy im przypisać charakter ostrzeżenia. Jest to zapewne próba skłonienia Japończyków, zagrożonych przez Amerykanów, raczej do rozmów z Rosją. Może w Stanach Zjednoczonych zdają sobie sprawę z nowych możliwości, które przebieg wojny na Pacyfiku daje Rosji, wysuwającej się tam znowu na neutralnego arbitra. Może dlatego tyle uwagi poświęca się obecnie w Stanach Zjednoczonych wrogiemu uśmęgowaniu się Czang-Kai-Szeka do chińskiej armii komunistycznej. Zła zgłowią może jeszcze różne niespodzianki. Między Rosją, Japonią i Ameryką leży wielkie Chiny, tak jak między Rosją a Niemcami leży Polska. Walka o Chiny jest daleka od zakończenia. Jak w tej walce zachowa się Rosja — pozostaje zagadką.

Nafta irańska

Drugim zagadnieniem, które pasjonuje obecnie prasę amerykańską, jest sprawa naftowa irańska. „The Stars and Stripes”, wojskowy organ amerykański we Włoszech, nie ukrywa trosk, które budzi w Ameryce „potencjalna wybuchowość sporu sowiecko-irańskiego”. Jeden z urzędników amerykańskich oświadczył nawet, że „Iran może zażądać sprawy Polski jako główne zagadnienie narodów sprzymierzonych. Stany Zjednoczone i W. Brytania — czytaliśmy dalej — pragną kompromisowego, zadowalającego załatwienia kwestii polskiej, ale W. Brytania nigdy nie zgodzi się na zagrożenie swej pozycji w Iranie”.

W dodatku Irańczycy znaleźli się na skrajach ustępstw wobec Rosji. Pismo amerykańskie przewiduje, że nawet w wypadku ustąpienia irańskiego premiera Saada pod naciskiem sowieckim, jego następcy krocząc będzie tą samą drogą odmaiwając koncesji naftowych w Persji. Dziennik nie ukrywa, że obecny kryzys został wywołany żądaniem Moskwy udzielenia jej koncesji w tym czasie, gdy rząd irański wyraził już zgodę na przyznanie innych koncesji Amerykanom i Brytyjczykom. „The Stars and Stripes” przypomina, że Iran okupowany jest przez trzy armie sojusznice, że do części zajętej przez Sowietów w Iranieczy nie mogą udawać się bez pozwolenia oraz że trzy wielkie mocarstwa zowiązły się zobowiązaniem poszanowania integralności i niepodległości Persji. Sprawy Persji jak i Chin muszą być wszakże rozważane na szerszym podłożu.

Konferencja lotnicza

W Chicago rozpoczęły się obrady międzynarodowej konferencji w sprawie organizacji lotnictwa cywilnego po wojnie. Przedstawiciele 58 państw uczestniczą w naradach, które pasjonują zwłaszcza prasę amerykańską i angielską. Łatwo przewidzieć, jak wielką rolę odegra lotnictwo cywilne w okresie pokoju, kiedy stanie się zapewne najważniejszym środkiem komunikacji nie tylko osobowej, ale i towarowej. Od tego, jak będą wykreślone przyszłe linie lotnicze, gdzie znajdą się lotniska, kto rozporządzać będzie samolotami, zależy więc w niemałym mierzcie wpływ gospodarczy i polityczny poszczególnych państw.

Na tym tle zrodziła się coś: ciekawa dyskusja między prasą Imperium Brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych. Oba te mocarstwa będą miały oczywiście największe do powiedzenia w tej dziedzinie, ale dla każdego z nich sprawa przedstawia się nieco inaczej. Stany Zjednoczone mają kapitały, Imperium posiada bazy rozrzucone po całym niemal świecie, co pozwala mu ogarnąć swymi liniami większą część kuli ziemskiej.

Wskazka, bo nie całą, albowiem Rosja sowiecka nie przyjęła zaproszenia na konferencję. Protekstem odmowy jest udział w obradach delegatów Szwajcarii, Hiszpanii i Portugalii, które to kraje w oczach Rosji Sowieckiej są siedliskami „faszyzmu” i „czarnej reakcji”. Czyżby jednak o to istotnie chodziło? Rosja nie dopuszczała

dolęchcas do lądowania obcych samolotów na swoim terytorium. Odbiło się to, jak wiadomo, fatalnie na 10sach Warszawy. Wiedząc nadal zamierza trwać na tym stanowisku, werna polityce wspaniałego odosobnienia, nieufna wobec wszelkich więzów zobowiązań, zajęta budową własnego imperium. Odmowa Moskwy wzięcia udziału w konferencji w Chicago jest z tego punktu widzenia bardzo znamienita.

Jednym z najważniejszych zagadnień, które wysunęły się na konferencji, była sprawa międzynarodowej działalności lotnictwa cywilnego. Amerykanie reprezentujący w tej dziedzinie pogląd najbardziej liberalny, co odpowiada ich pozycji najsilniejszego prawdomożnego po wojnie organizmu gospodarczego. Pragną, by organizacja międzynarodowa w zakresie lotnictwa ograniczyła się do „czynników doradczych i dokumentacyjnych”. Anglicy przeciwnie wysuwają projekt ścisłego określenia praw i obowiązków poszczególnych państw, by „uniknąć chaotycznej konkurencji, która mogłaby doprowadzić do devaluacji pieniądza i spadku zarobków”. Wynika z tego, że o ile Stany Zjednoczone reprezentowane będą po wojnie kierunek liberalny w handlu międzynarodowym, W. Brytania skłaniać się będzie do systemu protekcyjnego.

Innym interesującym przejawem konferencji był protest państw południowo-amerykańskich przeciw projektowi Stanów Zjednoczonych wprowadzenia do „międzynarodowego komitetu wykonawczego lotnictwa cywilnego”, złożonego z 15 członków, delegatów przeważnie wielkich mocarstw z pominięciem mniejszych. Republiki południowo-amerykańskie są przeciwni tworzeniu tego typu komitetu, który gotów „pogwałcić ich prawa suwerenne”. Oprócz tego protestu złożono żądania Francji traktowania jej na równi ze Stanami Zjednoczonymi i Rosją, a także do zmian brytyjskich, które uważają się za pełnoprawne państwa suwerenne. Projekt amerykański będzie więc musiał ulec zmianie. Faktem wszakże pozostaje, że na pierwszej konferencji ustalającej międzynarodową organizację jednej z wielkich dziedzin życia współczesnego sprawa udziału praw państw mniejszych wysunęła się na czoło. Sprawy tej nie da się już dłużej pomijać.

Jeszcze konferencja w Dumbarton Oaks

Wypytanie ona również na konferencji bezpieczeństwa, gdy mniejsze państwa zostaną wezwane do omowienia wyników obrad w Dumbarton Oaks. Panuje powszechna opinia, że w związku z tymi naradami powstały „trudności”. Na czym one polegają? Wiemy, że Rosja domaga się w organizacji bezpieczeństwa prawa veto dla siebie, wiemy, że chce ograniczyć do minimum wpływ państw mniejszych, oraz że w Dumbarton Oaks nie zastąpił przy jednym stole z Chiczykami, z którymi delegaci St. Zjednoczonych i W. Brytani obradowali oddzielnie. Ale oto dalsze informacje, podane na ten temat przez londyńskiego „Observera”:

„Rzeczniczy sowieccy po konferencji w Dumbarton Oaks bez wahania stwierdzali, że Związek Sowiecki nie jest skłonny wyjść poza owe 90 proc. porozumienie (osiągnięte w Dumbarton Oaks) dopódy, dopóki polski problem graniczny nie będzie zadowalająco załatwiony dla Rosji. Pozostałe 10 „proc.”, to właśnie kwestia, jak potraktować ewentualne oskarżenia o napasę skierowane przeciwko ZSRR, albo innemu wielkiemu mocarstwu. Brytyjczycy nie szczędzą wysiłków, by osiągnąć rozwiązanie tej kwestii. Lecz sprawa polsko-sowiecka wiąże się ze sprawą bezpieczeństwa światowego, a zwłaszcza wschodnioeuropejskiego, którego utrzymanie przypada głównie Rosji. Tak więc kryzys i troski aliantów o jego przebieg mogą trwać jeszcze kilka miesięcy”.

Wynika z tego, że w Dumbarton Oaks Rosja zażądała ustalenia już obecnie, a więc przed konferencją posojową nowej granicy polsko-sowieckiej, oczywiście na podstawie linii Curzona, uzależniając od tego przystąpienie się do ogólnego planu bezpieczeństwa, opartego na współpracy anglo-amerykańsko-sowieckiej. Stąd owe „trudności”. Prowadzi to nas do nowej fazy stosunków anglo-polsko-sowieckich.

Naciski w polityce i walki w polu

„Observer” z dnia 5 listopada podał następujące informacje: „Rząd polski ciągle rozważa propozycję przywiezienia przez premiera Mikołajczyka, lecz pewne dane wskazują, że propozycje zostaną odrzucone. Mikołajczyk widział się z premierem Churchilliem w czwartek w

nocy i rozważał z nim sprawę odpowiedzi rządu polskiego. Premier Churchill, jak sądził, wywierał nacisk i wskazywał, że oczekuje od rządu polskiego wyjaśnienia jego stanowiska w ciągu najbliższych paru dni w kierunku powzięcia decyzji w sprawach terytorialnych, zanim inne zagadnienia staną się przedmiotem obrad.

„Jak przypuszczamy, żądania Moskwy przewidują przyjęcie przez Polaków linii Curzona, jako ich wschodniej granicy oraz Odry, jako zachodniej granicy. Premier Mikołajczyk zwołał nagle posiedzenie Rady Ministrów na piątek i żądał sprawozdania o swych rozmowach z Churchillem. Rząd polski postanowił nie podejmować decyzji o sprawach granicznych, zanim nie zostaną one potraktowane łącznie z innymi kwestiami rosyjsko - polskimi, a w szczególności z zagadnieniem samego rządu. Rząd polski zamierza odkładać decyzję w sprawie granic dopódy, dopóki konflikt lubelski, popierany przez Rosję, sprawaować będzie kontrolę nad oswobodzonymi polskimi ziemiami. Rząd polski nie zakończy jeszcze dyskusji w tych sprawach.

„Polscy ministrowie socjalistyczni zaproponowali obecnie, by rząd nie podejmował żadnych decyzji, zanim nie uzyska anglo-amerykańskich gwarancji, że w każdym układzie między Rosją a Polską Polska zachowa niepodległość i udziałność. Propozycja gwarancji winna przewidywać obronę powojenną Polski przed napastami zarówno ze strony Niemiec jak i Rosji. Wobec tego jednak — dodaje „Observer” — że wysocy jest nieprawdopodobne, by rządy sojusznice udzieliły takiej gwarancji, formuła socjalistyczna oznacza faktycznie odrzucenie moskiewskich propozycji”.

Inne pisma brytyjskie podawały mniej wiarygodne informacje. „Glasgow Herald” stwierdzał wyraźnie, że propozycje rosyjskie „nie zdobyły sobie bezstronnej opinii” w Anglii oraz że „żądanie Lwowa, wybitnie polskich miast, z trudem da się usprawiedliwić, podobnie jak projekt rozszerzenia Polski aż do Odry”.

Katolicki tygodnik „Tablet” w artykule „Naciski na Polaków” stwierdzał, że w obecnej sytuacji wysuwają się dwa zagadnienia: 1. jakie są cele sowieckiej polityki w Europie środkowej i 2. co brytyjsko-amerykańska polityka uczyni, jeżeli pierwsze przewidywania co do zamierzeń sowieckich okażą się uzasadnione. Pismo ostrzega, że rząd brytyjski nie może przyjąć się do polityki „dotychczasowych rozwiązań” w stosunku do Polaków. „Brytyjczycy jednak mówią Polakom w roku 1944 to, co mówili im w r. 1939 Włochy”, które wówczas radził Polacy przyjąć propozycje Hitlera w linie realizmu politycznego i oceny siły niemieckiej. Pismo stwierdza ponadto, że naciski na rząd polski mogą wywołać tylko większy jeszcze rozłam wśród Polaków. „Doprowadzenie zaś premiera Mikołajczyka do związania się zobowiązaniami, które zostająby gruntownie odrzucone w Polsce, pozwoliłoby głose Rosji, że beznadziejnie Polacy odrzucają wszelkie układy”.

Ocena ta jest na pewno trzeźwiejsza od poglądów „Sunday Times’a”, który wyrządził przekonanie, że „umiarkowana opinia polska” przechyla się do przyjęcia linii Curzona jako złej, od którego nie można się uchylić”. Gotowa to jest ona rzekomo uczynić pod warunkiem, by 1. alianci bliżej określili, co rozumieją przez głoszoną ustawicznie formułę o „wolnej, niepodległej i suwerennej” Polsce oraz by 2. ustalili konkretne swój pogląd na zachodnią granicę Polski, gdyż w tej sprawie zwłaszcza stanowisko Stanów Zjednoczonych jest niejasne. Pismo zapewniało ponadto, że „odtam polskiej opinii zajmujący stanowisko całkiem nieprzejednane stanowi stosunkowo nieznaczna mniejszość”.

Otoż trzeba tu wyraźnie stwierdzić, że jeżeli za „nieprzejednanych” uważa się tych, którzy stoją na gruncie całości i niepodległości państwa, to są nimi wszyscy Polacy. Zdecydowani odrzucić, jak przewiduje „Tablet” wszelkie układy godzące w ich prawa. Znkiem mniejszość stanowią właśnie ci, którzy gotowi są zgodzić się na kompromis.

„Economist” w związku z tą sytuacją zaznaczał: że obecnie nie tylko stosunki polsko - rosyjskie, ale i polsko - brytyjskie są w grze. Pismo nie ukrywało zarzutów pod adresem rządu brytyjskiego, twierdząc, że na konferencji teherańskiej poczyniono jednostronne obciążenie kosztów Polski nie usuwając w zamian żadnych zabezpieczeń od Rosji dla Polski.

Oto wypadki, które rozgrywały się ostatnio w Londynie. A tymczasem komunikaty wojenne dawno już nie były tak pełne wiadomości o zwycięskich wyczynach żołnierza polskiego, zarówno w Apeninach, na drodze do Forli, jak i w Holandii, gdzie Polakom udało się zgnieć w końcu ostatni, najsilniejszy przewrót mostowy na południe od Mozy. Wskazywają Polacy — „naciski polityczne”...

MARYNA SPOD LUBANIA

SCEPANOWA NUTA

Zaduszkowy czas. Szare niebo. — Deszcz pada jak łzy. Oglądamy się w koło wieczorną godziną i szukamy kogoś siebie tylko, co blisko nam byli. Nie ma ich. Odeszli.

Biskie potwornie powiększyły się korowód cieni, tragicznych cieni polskich od września 1939 r. Są straty tylko serc najbliższych. Są i takie, które oplakuje naród cały.

Myszę, że konieczne trzeba w zaduszkowych wspominkach przypomnieć bezenną stratę Jędrzeja Cieronia. To, że Niemcy rozstrzelali go już na wiosnę roku 1942, jest chyba dość wymownym motywem.

Bo Niemcy od początku systematycznie, z całą arcy mistrzowską niemiecką precyzją niszczyli kulturę naszą, ludzi, którzy reprezentują wartości dla tej kultury nieprecyzyjne. Widocznie on właśnie był nieprecyzyjnie niebezpiecznym dla planów Herrenvolku, dlatego padł. Padł od kuli niemieckiej.

Myszę, że znajdzie się wielu spośród jego uczniów i wyznawców, którzy głębiej, bardziej źródłowo ujmą jego zasługi. Ja wiem tylko jedno. Nie wolno przemielić jego pamięci, nie wolno zastęp go ukrywać, bo będą wolne same te upływy górskie, te dołskie dziedziń, te pastwiska i polany łosne, które choć tak wnikliwie i ukochał.

Z ubogiej nadwioskowej wsi pochodził, z Zaborowa. Z chłopiejski urosł głębiej, chłopem pozostał całe życie i choć wzrósł w stawie, zaszczętył i znaczenie, nie odeszł od wsi i nie dał się od niej oderwać. A w kulturę polską wniósł wiele bogactwa, świeżości i prostoty, swojskości i prawdziwego piękna. Wniósł wszystko najlepsze, co udała jednostka z ludu wnieść tylko może.

Całe jego życie było ciężką, ofiarną pracą dla wsi. Znal ją, bo z niej wyrósł. Z Orkanem o jej uszczęśliwieniu myślał. Kochał ją ponad wszystko. I całe jej życie poświęcił.

Wnioś z tej swojej wsi rodzinnej ukończenie pieśni ludowej, obyczaju, obrzędu. Był od dziecka urzeczony pieśnią ludową i jej granicami. Przez wszystkie etapy swego życia od pasania bydła, kiedy to „od zmęczenia mógł nie chcą chodząc”, poprzez szkołę wiejską i tę w mieście, co go na pana uciąga, niósł w sercu umiłowanie ludowej pieśni, niby przeczuci i nie gasnący płomień, co mu mroki i niedole twardego życia rozświecał.

Był i na wojenne dalekiej. W 1. pułku brygady Piłsudskiego. Jakże by mogło być inaczej?

Kiedy wrócił, po skończeniu studiów i ciężkiej pracy wizytatorem M.W.R.O.P. zostaje, tym bardziej o tę swoją wsi walczy. Wszędzie, gdzie tylko zatrzyma się, skupia kolo siebie ludzi „opętanych wsią”. I on właśnie odkrył niebywałe materiały dla narodowej sceny ludowej w wioskich balladach, obrzędach, baśniach.

Bo był opętany wsią i teatrem. I wierz, że ogromna rola wychowywała jego w organizowaniu widowisk scen amatorskich. Tylko trzeba odpowiedzieć da materiał odpowiedni, co widownię poruszy i wykonawcom da wielkie przeżycie. On rozumiał i wszystkich w koło uczył, że nasze sławne odwieczne obrzędy ludowe, w których każdy ma oznaczoną rolę aktora lub statysty, to właśnie wyzwalające pragnienie wsi do przeżywania wspólnie spraw wielkich, to uciekanie od codzienności, szarości życia i biedy.

On twierdził, że właśnie w naszej wsi leży tęsknota do wielkich widowisk - misteriw, że musi się dla niej stworzyć teatr masowy. Marzył o jakichś wspaniałych misteriach, o cudach, co by zadziwili świat, a wyzwalały, podnosiły, uszczęśliwiałały tę jego wicę najdroższą.

On to okazał, że wspaniała dramatyczność naszych ballad i pieśni to najprostszą operą, którą jakże łatwo podać w inscenizacji we wszystkich warunkach i wszędzie.

Wprowadził więc je na scenę. Ukazał miastom i „panom”, i wsi samej, co z niedowierzaniem patrzyła, że tyle piękna, tyle wyrazu i czaru leży w tych nutkach, które rzekomo postępowcy, przynoszący na wieść tanga i fokstraj, obśmiewali i odrzucały ze wzgardą.

Wprowadził i oczarował ich inscenizacją ballady o Kasl, co wołki pogubiła, czy pełną religijnego po prostu nastroju prześliznę „Jabloneczki”, czy też żałosną o tym, co „przejechał do niej pięknie ubrany pod zielony ganecek”.

On to tworzył Związek Teatrów i Chórów Ludowych w Warszawie. On wyda-

ł drukuje mimo wielkich trudności miesięcznik „Teatr ludowy”, gdzie podaje materiały, które jak stworzył prawdziwą polską scenę.

Pomaga wszystkim, jest wszędzie. Na kursach przeróżnych, w szkołach, w ubogich świeciach. Bezwzględna i okrutną wojnę wydał popularnym, rzekomo pisanym „dla ludu” „Zydom w bezce”, czy „Błądkiem opętany”.

Toteż żeby dać coś w rodzaju żelaznego kapitału dla scen wiejskich, napisał prześliznę „Fransuśową dolę”.

Jest to w obrzędzie i pieśni przedstawione całe żywioły chłopu Fransuśa od jego kołki aż do zameldowania się w niebie. Chłopa urzeczony przez ludową nutkę, przystanął mu z nieba.

Nad kołkami Fransuśa matusia siedzi — lula go i śpiewa rzewne, proste kołysanki „uśnij że mi, uśnij, Pan Jezus ci uśpi, mamusia utuli w malowanej luli”. Póimrok, uśmiechną głowa kobiety opada sama w krótkie, dziwne śnienie. I oto z nieba schodzi aniołek w stroju ludowym o pawich skrzydłach, jak z łowickiej wycinanki. Niszczy w rękach skrzydlate niebieskie i u stóp dziecięcia je kładzie. Muzyka podaje mu tę słodką i miłą melodię „Fransuśowa nuta nigdy nie zaginie, ani na wirysku, ani na dolinie”.

Fransuś pastuszek, w „wileuska” się bawi. Ale pod koniec zabawy zanucił na tę samą melodię: „Zachodzące słońce, skoro mas zachodzić, bo mnie nożki boją, za owcami chodząc”.

Potem kolednicy — Fransuś już parobkujący „luroniem” do kołchanu Hanusi przychodzi. Zdziwiała, strasza. Wreszcie odrzuca skóry turuniowe i łeb straszliwie kłapiący, żeby Hanusię, ukochanie swoje, wedle zwyczajów i pod okiem rodziców po Bożemu w taniec porwał młodym w takt spójniej melodii i słów rzewliwych, „gorzka lipka, gorzka, Hanusia pod nią stała — Fransuśowi jej było żal, więc ją sukmanką przyodziął”.

Śpij kolego w zimnym grobie

(Dokończenie ze str. 5)

„Ale my tu już od dwóch dni i wiemy coś niecoś o swabaskich metodach...”

„Nie nam nie zrobić. Strzelanie ważniejsze od nas.”

„No tak! Latwo to panu mówić, skoroś tu dopiero przyszedł. Ale nam skóra droga...”

Zaśmiał się i dalej wychylał się ze schronienia.

Potem przycisnął jeszcze kapitan z pacu. Też z nim był niezły kłopot, bo miejsca już wcale nie było i trzeba było przybudować stawiak; zaś kapitan Bączkowski znowu stał się z nim a konto swoich kompetencji. Był przedstawicielem AD — czyli niekłym pobiogiem na odcinku.

No i jakos nie nam nie zrobili. Widac szczerze wówczas szło za nim.

W czasie decydującego natarcia na Angulo 18 maja nie byłem z nim razem, za to całe jego perypetie słyszałem przez infanta.

Kapitan Bączkowski był z ramienia AD na Widnie, skąd prowadził ogień artylerii. Strzelali wszystkimi dostępnymi pułkami sprowadzając na swoją głowę kławy wszystkich obcych dowódców dywizjonów, którzy znaleźli się nagle w roli pionków zmuszonych do słuchania i wykonywania rozkazów „jakiegos tam” młodego kapitana. Niemalże więc dla nich było ułgą, gdy w momencie wyruszenia natarcia kapitan zgłosił się na ochotnika jako wysunięty obserwator, zdał funkcje kierownika ogniem artylerii w ręce kapitana R. i w wszyscy łomigan ruszyli z piechotą.

Długo nie było o nim słychać. Potem przyszedł niepokojący meldunek od telefonisty, który zdzwonił, iż jest już na Angulo, ale sam — bez oficera obserwatora, który gdzieś w zamieszaniu natarcia zgubił się. Wyślano na poszukiwania — bezskutecznie. A potem hłobowa wieść, że widziano kapitana Bączkowskiego, jak nacieral wraz z prawoskrzydłowym plutonem, z którego nikt nie wrócił! Robiło gwałt AD, robił gwałt da bauna. — Bezskutecznie. Nad kapitanem Bączkowskim położono krzyżyk. „O, młody, zdolny... szkoda go...”

I nagle — wiadomość. Znalazł się kapitan Bączkowski. Lekko ranny w szyję. Nacieral na bunkry, mało się do niewoli nie dostał...

Wszyscy odczekali. A potem podobno była awantura w AD, jako że wymawiano mu, iż niepotrzebnie się narażał, że nie rzuca obserwatora artylercyjskiego na bunkry nacierali! Potem była dekoracja

Już i wesele Frankowe. Prześlizne w pociąg czepiny Hanusi. Wice rzewliwa piosenka o wianku z białej róży i wspaniałe starościny, i ich taniec nieodzwonny pod starodawnego chmiela tańczony. Nie pomoże zrucanie czepca z buntującej się głowy, nie pomoże uciekanie przed chłopcem w dziewczym przestraszonym. Złapie cię Fransuś w przepiórecze, by jak fryg zakręcić i światu całemu pokazać, że to Fransuśowa już teraz, nie czyja.

Fransuś gospodarzy, z Hanusią dożynki sprawiła. Wiecie im z pola niosą kłostie złote od pszeniczki, od kwiatów polnych barwiste. Chyli się im do kolan córka przodownica, najlepsza pracownica, urodziwa, robotna.

Więć i weselisko Fransuś sprawił. I oto znów w wrzuszającym obrzędzie córka go żegna w czas uroczystych „wyprowadzin z domu”. Ojcu matce dziękuję, pręg domowy ciałuję”, żegna kątę, gdzie żyła, gdzie pracowała, marzyła. — „Teraz nie będę, nie będę”.

Żegnają ją Fransuś — na gęślikach grając tę piosenkę, co mu w kołysance dźwięczała, co mu szumiła szczęściem na własnym weselu.

I wreszcie nastroj się zmienia. Na scenie Fransuś jako dziad przosłany, z gęślikami pod pachą, wygnany przez swego zięcia, na stare lata na żebrać chleb. Nie dziwno mu. — Ileż to na wsi dzieci złych. Tylko się skarży melodią tą samą, co mu dni szczęścia śpiewała, ale żalnością, ale smutno. — „Pocię Jezusku, pocię za mnie, pocię, bo mnie nie pocię matka ani ojciec”.

I zaczyna grać śpiewając tę tragiczną historię o ojcu, co to wychował trzy córki i nie wiedział, ile dać której. Śpiewa o twardej sercu córce, z których jedna kamień, druga powrót, przyniosła, ze słowem gorzszym od uderzenia; „a naści ojciec utop się, po moich progach nie płacz się”.

Nie może pomóc żalu biedne serce ludzkie. Pęka przy tych słowach okrut-

nych, i oto zostaje Fransuś, dziadek pro-szalny, sam na sam z Chrystusem boleści-wym i śmiercią.

Ale oto znów niebo. I jakie! Błiskie, znajome, jak z szopki! Aniołowie w strojach ludowych i Maryjka i Józef — Maryja śpiewa. Dzieciatku tę przeczudną ponad wszystko jedyną góralską kołysankę, gdy nagle zjawia się Fransuś w zgrzebnej, białej koszuli. Niesie gęślik z nieba, Maryja podaje: „Przyjmij Jezusku, to moje śpiewanie, Fransuśowa nuta, Fransuśowe granie”. I cud się dzieje istny. Maryja się do niego uśmiecha, a niebo, całe niebo dźwięczy: „Fransuśowa nuta nigdy nie zaginie, hej, ani na wirysku, ani na dolinie”.

Wydał tę „Fransuśową dolę”. Stary Scepan, bo tak go biskie nazywali zwykle, ale nie był z niej rad. Wyszukiwał słabostki, wytykał naiwności. Po prostu się wstydił. Ale nie miał racji. Wiem, ile przeżył i wrażeń niezapomnianych dała w mojej wsi góralskiej, wykonana przez zespół całkowicie wiejski. Ile też uznania płynęło z oczu widzów, jak głęboko przejęci byli wykonawcy. Bo najważniejsze w tej sztuce było to, że była ona jakby ramami, w które można było wkładać miejscowe zwyczaje, tańce, obrzędy. — To naprawdę najbliższe sercu; najbardziej zrozumiałe.

Jakże często, gdy patrzę na produkcję naszych czołówek, westchnieniem żal się odzywa: Jakaż krzywdą dla żołnierza, że nie ma Cię z nami, Scepanie!

Szukał nowych dróg dla sztuki ludowej. Szukał teatru dla mas. Organizowane przez niego dożynki w Spale były częścią spełnienia tych jego pragnień. Pod jego wpływem Styler napisał wspaniałe widowisko kolendowe „Pastoralkę”. Cierniak chciał wydać wielki zbiór obrzędów weselnych.

Był wszędzie, gdzie tylko wieś zaczynała się ruszać, gdzie stawała pierwsze, niepewne choćby kroki na drodze szukania piękna.

On i Zachemski, później Ładosz, Zawiejski i wielu, wielu innych — szukali tych nowych prawd i nowych dróg.

Nie patrzył na różnice partyjne. Był ponad nimi i bolal, że wieś w wysiłku swym się rozbiła, dzieliła, zwalczała wzajemnie. Miał nawet pewne przykrości z tej racji, że pomagał grupom, które nie wszędzie dobrze były widziane, jako zbyt radykalne, czy obwołane za rewolucyjne.

„Nie dam sobie wsi odebrać”, powtarzał wtedy. Ale widak było, jak mu było smutno. Nie dwał jednak o przykrości. Był wszędzie i kochał go wszyscy. I jednym, co rzeczywiście łączyło wszystkie przeciwne sobie związki, to było umiłowanie idei Cierniakowej, jego skromnej postaci z gęślikami pod pachą.

Nie wyróżniał też bogatych kulturalnie okolic od tych uboższych. Wszędzie umiał znaleźć coś jedynego, ciekawego. Toteż kochał go Zabazanie i górale, i Lachy, Krakowianie, Mazury czy Białorusini. Był władcą chłopiejskich młodych serc.

Gdy obchodził jubileusz 25 lecia w Teatrze Starym w Krakowie, zjechała się cała barwna wieś polska. Bez różnicy zapartywań, wszyscy z gorącą wdzięcznością w sercu za to piękno, które wyצרował i wydarł z ubogiej wioskiej niwy. „Jako ten cierniak z jałowej ziemi” (wyjętek z przemówienia).

Nie pamiętam daty — tylko ten teatr wybitny do ostatniego miejsca, tylko te stroje barwiste, tylko te oczy płonące i postać Jubilata skromna i jakby zażenowana, że to jemu właśnie wieś uznania.

Pamiętam potem zjazd teatrów i chórów w Warszawie, w przepięknym gmachu Ministerstwa W.R. i O.P. Jego kłopoty i troski. Bo o to z terenów przynosił mu wieści, że każdy prawie starosta zaczął dożynki wyprawiać. I nie jeden raz wzięto wianek dożynkowy na rowerze, przez „organ gminny” w tużurku i złotych butach. Więć znów nie to, co on chciał widzieć, znów nie tak, nie tak.

Pamiętam spotkanie na kurcie. I rozmowy, i wykłady niezapomniane, i listów kilka i rad cennych tyle. Wojna zerwała stały kontakt. AD w lecie 1942 roku, w radny dzień przekroczenia sowieckiej granicy, by na wolnej ziemi stanąć ziemi — bolesna wieść — zastrzelili.

Niemcy zabili człowieka. Lecz ideę zabić nie potrafili. Gdzieś jego nutka po krzakach się skryje, w upłyty zabieganie, ale wskrzesi i wróci. W wielką i świętą wiosnę Zmartwychwstania.

Aleksander Grobicki

STANISŁAW JANIKOWSKI

Kopernik w Bolonii^(III)

VI

Na jesieni 1499 r. przybyło do Bolonii dwóch humanistów niemieckich. — Vincentius Longinus (Vincenz Lang) oraz Johannes Rhagius Aesticampanus (Rack z Sommerfeld). O pobycie ich we Włoszech wiemy sporo z ogłoszonych niedawno listów, które pisali do swego przyjaciela i mistrza, Konrada Celtesa. Był to poeta, przewodca ruchu humanistycznego w Niemczech. Od wiosny 1489 do jesieni 1491 r. Celtes przebywał w Krakowie, gdzie wykładał na Uniwersytecie. W tym czasie słuchaczami jego byli zarówno Lang, jak i Rack, którzy imitowali się w maju 1491 r. Wszyscy trzej mogli w Krakowie poznać studiującego tam Mikołaja Kopernika.

Najbardziej szczegółowo o pobycie we Włoszech pisze Vincenz Lang. Wymienia ludzi, których widział, zabityki, książki. Nostalgia czy też to, co dziś nazwalibyśmy szowinizmem, każe mu uznawać wyższość umysłową Niemców nad Włochami. W żartobliwym liście, pisanym rzekomo przez Pliniusza II z pół Elizejskich do Celtesa, Lang wkładał w usta Pliniusza skargi na współziomków: „mei Itali longe a maioribus suis degenerantes” (moi Włosi znacznie zdegenerowani w stosunku do przodków). I wystawia dziło Celtesa „qui primus apud Germanos tuos meus fores interpretas” (który pierwszy był moim tłumaczem wśród twoich Germanów). Również Rack gorzko się wyraża o Włoszech. Później zapewne o nich zmienił sąd, gdy w Rzymie został uwieczniony przez papieża jako poeta.

Najciekawszy dla nas jest list Langa, pisany w Rzymie w końcu 1500 r. Stanowi on rodzaj sprawozdania z całej podróży po Włoszech, a zawarte w nim obserwacje są dla nas tym ciekawsze, że mogą rzucić nieco światła i na to, co i jakie wrażenie robiło również i na Koperniku. Byli oni mniej więcej rówieśnikami, o podobnym poziomie kulturalnym: przyjeżdżali z północy, w tym samym czasie dotarli do Rzymu; łączyła ich przeszłość — studia krakowskie.

Longinus i Rhagius zwiedzając po drodze i poznając ludzi, przez Wenecję, Padwę, i Ferrarę przybyli do Bolonii. Lang wyszukując łaciną składa jej hołd, a później daje sprawozdanie:

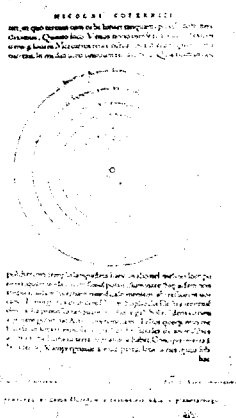
„Tutaj słuchałmy Antonia Codra, męża wykładającego z wielką erudycją po grecku i po łacinie; Philippa Beroalda, najpiękniejszego tłumacza filozofii, retoryki i poetyki, wymownego doktora, który i płynna prozą i wierszem wiele napisał; w filozofii publicznej i metafizyce — publicznych wykładów Aleksandra, męża bardzo sławnego i bystrego; w matematyce — Dominika (Marie Novare), który jest wielkim miłośnikiem tych rzeczy, czytał zaś Euklidesa, Almagesta, Ptolomeusza. Wykładał także Kosmografię Ptolomeusza w domu Fosgarvaria (tak jak i Philippo Beroaldo historię naturalną Pliniusza Secundusa) znakomitym i łaskawym panom Johannowi de Taetschun i Krzysztofowi Veitmilleroi. Te nauki wynalezioną i wzbogaconą przez królów, a niedawno odnowioną przez Mikołaja Niemca (a Nicolo Germano nową restauratorem), słusznie otwiera się królewskim umysłom i słusznie one jej jak królewskiego zaiste daru pożądamy” *).

Na pierwszym miejscu wśród uczonych boloijskich wymieniony jest Antonius Cadurus Urcus, profesor retoryki, greki i łaciny. Waga, jaką do jego wykładów przywiązuje widocznie Lang, wzmocnia przypuszczenie, że słuchał ich również i Kopernik, wbrew wątpliwości prof. Z Birkenmajera. Również i inne mądre naukowca wykłady musiły Kopernika pociągać. Na jednak przede wszystkim interesuje uszy listu dotyczący Dominika Marii Novary. Dla dwóch panów czeskich, Krzysztofa Veitmillera (Veitmillera) oraz Jana z Cieszy, nazwiskiem de Wartemberg, którzy obydwa należeli tak jak Kopernik do „Nacji” Germańskiej, — Dominik Maria wykładał „Kosmografię” Ptolomeusza. Lang, który, jak wiemy, przejawiał pewien szowinizm niemiecki, wspomina przy tej okazji, że kosmografia została „a Nicolo Germano nową restauratorem” („per Mikołaja Niemca niedawno odnowioną”). Wydawać komplementy Celtesa w odsłuszczeniu podał, że ów Nicolaus Germanus, to Mikołaj Kopernik. Na taki domysł łatwo mogła naprowadzić data listu — 1500 rok —

*) Tłumaczenie Jeremiego Wasilutyskiego.

nawiazanie do Dominika Marii Novary oraz nazwisko Ptolomeusza. Hans Schmauch z Marienburga napisał artykuł „Nicolaus Copernicus — ein Deutscher” (Mikołaj Kopernik — Niemiec). Jeremi Wasilutyski w uzupełnieniu swej książki uznał, że nowe odkrycie rzuca inne światło na działalność Kopernika w Rzymie, skoro był on już wówczas uznanym odnowicielem nauki. Wasilutyskiego uderzyło tylko, że Lang pomylił „Kosmografię” — a więc geografii — z astronomią.

Pomyłka taka jest jednak niemal że niemożliwa. Wszak Lang słuchał równocześnie wykładów tegoż Dominika Marii o „Almageście” na uniwersytecie oraz o „Kosmografii” w domu prywatnym — musiał więc wiedzieć dobrze, że pierwsze z tych dzieł traktuje o astronomii, drugie — o geografii.



Rysunek układu planetarnego z 1. wydania „Obrótów”

Sugestia nazwisk i okoliczności była tak silna, że nikt z biografów Kopernika, jak się zdaje, nie zadał sobie pytania, czy w tej epoce nie istniał Mikołaj Niemiec, któryby się zajmował geografiami, a w szczególności „Kosmografią” Ptolomeusza i czy nie posiadał jakich zastrężeń naukowych, które by pozwoliły Langowi na kreowanie go na „odnowiciela” tej wiedzy. Zwyczajem humanistów, Lang niemal o wszystkich uczonych, czy poetach pisał w superlatywach.

Pozukiwania Mikołaja Niemca — geografa — daly rezultat pozytywny. Istniał on rzeczywiście ku końcowi XV wieku i — co jest ważne — działał w pobliżu Ferrare. Był jednym z pierwszych wydawców w druku „Kosmografii” Ptolomeusza i miał poważne zasługi w dziedzinie kartografii. Nie byłoby więc nie dziwnego, gdyby Dominik Maria wspominał o nim w wykładach. Lang niedawno zwiedzał Ferrarę, gdzie znajdowały się najpiękniejsze rękopisy Mikołaja Niemca. Jego wyprawka mogła znać i dawniej, gdyż Nicolaus Germanus drukował „Kosmografię” Ptolomeusza w Ulm, w roku 1482 i pozwornie w r. 1486.

Dane biograficzne, dotyczące Mikołaja Niemca, są niezmiernie skąpe. Wiemy, że był benedyktynem i że pracował na dworze książąt d'Este w Ferrarze. Znanymi jest jego sześć czy siedem rękopisów „Kosmografii” Ptolomeusza. Jeden z nich, wspólnie wykonany, z mapami, został przez Mikołaja dedykowany księciu Borsu d'Este w roku 1466, w Ferrarze: znajduje się w „Bibliotece Estense”. Drugi, ofiarowany temu księciu, przechowuje się w Bibliotece Nationale w Paryżu.

Mikołaj Niemiec, jak się zdaje, pierwszy zastosował tzw. trapezoidalny rzut do map Ptolomeusza. Wprowadził i inne modyfikacje do nich oraz dodał mapy współczesne. Wydawnictwo „Kosmografii” w Ulm jest wspaniałym, pięknie drukowanym foliakiem. Na początku dzieła, po indeksie znajduje się dedykacja papieżowi Pawłowi II:

„Beatissimo Patri Paulo secundo Pontifici Maximo Doni Nicolaus Germanus (Ojcu świętemu Pawłowi II w darze Mikołaj Niemiec). W przedmowie dedykacyjnej do papieża Mikołaj Niemiec mówi o swoich przeciwnikach oraz broni własnej metody rysowania map, „flexit et indinatit lineis ut ipsius terre situs ratio exigit et

non rectis”. (Nie prostymi liniami, a krzywymi i pochylonymi, jak tego wymaga widział na sam kształt ziemi). Tłumaczy się też, że wcześniej dedykował „Kosmografię” księciu d'Este, aby wysłuchać krytyki, nim złoży ją w darze Papieżowi.

Wielkich rozmiarów inicjał tej dedykacji wyobraża Mikołaja Niemca w habitach benedyktynskim, na klęczkach, w chwili wręczenia papieżowi swego dzieła. Mikołaj jest przedstawiony jako młody człowiek; dedykacja jednak, widocznie pochodząca ze starszego rękopisu, jest o kilkanaście lat wcześniejsza niż druk dzieła; Paweł II panował od r. 1464 do r. 1471. Z duża dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że rycina została oparta na miniaturze z owego rękopisu.*)

Wyrażano przypuszczenia, że nasz Mikołaj Niemiec jest identyczny z działającym w tym samym czasie drukarzem florenckim, który pisał się Nicolaus Alemannus, lub Nicolo Todesco. Pozostało po nim 15 druków, znaczących jego imieniem. Najwcześniejszy z nich pochodzi z 1477 r., najpóźniejszy — z r. 1486. Uchodzi on za pierwszego drukarza, który ilustrował książki miłośnikami. Wydał między innymi „Geografię” Franciszka Berlinghieri, opartą na Ptolomeuszu. Dodał do niej 31 map sztychowanych w metalu. Mają one jednak inny charakter, niż dotychczasowe „Kosmografii” wydanej w Ulm.

Po roku 1486 ślady działalności obu Mikołajów Niemców zanikają. Natomiast w dziesięć lat później słyszymy o Mikołaju Niemcu na gruncie boloijskim. „Liber secretus coll. Art. et Med.” zawiera notatkę następującą: „Die 8 Martii 1496 adprobatus fuit in medicina nemine discrepante Magister Nicolaus de Alemanis”.

Nigdy zapewne nie da się stwierdzić, jaki jest stosunek owego Mikołaja Niemca do obu poprzednich. Humanista często przetrzącał się z jednej wiedzy do innej, identyczność więc nie jest wykluczona.

Swego czasu usiłowałam Mikołaja Kopernika utożsamiać z owym Mikołajem Niemcem, który doktoryzował się z medycyny w r. 1496. Musiano go poniechać wobec oczywistej niemożliwości. Tak samo wobec z Mikołajem Niemcem, odnowicielem kosmografii, jest skazana na równie niepewność. Szowinista — Lang dał kanwę do tworzenia fantazji współczesnym uczonym będącym w służbie niemieckiego nacjonalizmu.

VII

Dotychczas uchodziło niemal za pewnik, że pierwszym tytułem naukowym Kopernika był doktorat-prawny uzyskany w Ferrarze w r. 1503. Ogłoszone jednak w r. 1920 dokumenty boloijskie wykazują, że między jesienią 1497 r. a wiosną 1499 Mikołaj Kopernik otrzymał stopień magistra; uszło to dotychczas uwadze biografów Kopernika.

Lino Sighinolfi odnalazł w Bolonii dwa akty notarialne, w których widnieje nazwisko Mikołaja Kopernika wraz z jego tytułami. Pierwszy z nich z dnia 23 października 1497 jest pełnomocnictwem, które Mikołaj Kopernik dawał dziekanowi warmińskiemu Chrystianowi z Tapiawy i kanonikom Andrzejowi „de Cleto” do objęcia w jego imieniu kanonii i związków z nią dobr. Obala to ostatecznie przypuszczenie, że celem jej objęcia Kopernik jeździł osobiście na Warmię. Akt spisał notariusz Hieronim de Belvisi „in episcopali palatio super logia dicti episcopatus”. (W pałacu biskupim nad loggią wymienionego episkopatu). Kopernik jest w nim wymieniony, jako „Venerabilis vir Nicolaus Alim Nicolai Copernig, canonicus Varmiensis, scholaris Bon. studens in iure canonico, presbiter constitutus”. (Czcigodny mąż Mikołaj syn ś.p. Mikołaja Kopernik, kanonik warmiński, scholarz boloijski studiujący prawo kanoniczne, kapłan ustanowiony).

Drugi akt w dniu 18 czerwca 1499 roku został spisany przez tegoż notariusza „in conventu s. Salvatoris in logia interiori domo habitationis... Domini constituentis”. (W klasztorze Zbawiciela w logii wewnętrznej domu mieszkalnego... pana mowiadającego). Ow mowiadacza, Erhard Truchsess von Wetzelhausen, szlachcika frankońskiego, wstąpił do „Nacji” germańskiej w tym samym czasie, co Kopernik. Byłoby rzeczą naturalną, żeby też nowo przybyli do obcego środowiska — Mikołaj i Erhard — zbliżyli się wzajemnie. Obydwa, jak widać z aktów, mieszkali w tej samej dzielnicy, w parafii s. Salvatore, może w tym samym klasztorze Zbawiciela. Tłumaczyłoby to powołanie przez Erharda na świadków

aktu notarialnego obydwóch braci Koperników: „presentibus... venerabilibus viris magistro Nicolao Kopernick, canonico ecclesiae Varmiensis scholaris Bon. studente in utraque iure et Domino Andrae eius fratre clerico colmensis scholaris Bon. studente in utraque iure ambobus habitatoribus in dicta parochia s. Salvatoris”. (W obecności... czcigodnych mężów magistra Mikołaja Kopernika, kanonika kościoła warmińskiego, studenta obójga praw i pana Andrzeja, jego brata, kleryka chełmińskiego, scholarza boloijskiego, studenta obójga praw — obu zamieszkałych w wymienionej parafii Zbawiciela).

Akty powyższe zawierają szereg danych o Mikołaju Koperniku szczególnie cennych, wobec znikomości ilości dokumentów, które by mogły rzucić światło na boloijski okres jego życia. Na jesieni 1497 r. Mikołaj Kopernik był już kapłanem; akt notarialny nazywa go „presbiter constitutus”. Brat jego Andrzej w 1499 kapłanem nie był — akt daje mu tytuł „clericus colmensis” (kleryk chełmiński). Dotychczas podawano w wątpliwość, czy Mikołaj Kopernik w ogóle kiedykolwiek otrzymał święcenia kapłańskie. Jako główny argument wysuwano, że kolidowałyby to z praktyką lekarską, którą wykonywał, a która była dla księży zakazana przez prawo kanoniczne. W rzeczywistości jednak można było łatwo otrzymać dyspensę (na przykład Kazimierz Jagiellończyk otrzymał od papieża dnia 9 czerwca 1505 pozwolenie, by go wraz z rodziną mogli leczyć księża — lekarze uniwersytetu krakowskiego).

Porównując akty z 23 października 1497 i 18 czerwca 1499 r. widać, że Mikołajowi Kopernikowi przybył nowy tytuł magistra. Oba akty spisywały ten sam notariusz de Belvisio, jak z wszystkich widuć, człowiek dokładny i skrupulatny. Różnica więc nie może być przypadkowa. Przed doktoratem prawa — Kopernik otrzymał go w r. 1503 — należało uzyskać stopień magistra sztuk wyzwolonych, czyli praktycznej filozofii; prawdopodobnie więc o ten tytuł chodził w naszym wypadku. Księgi uniwersytetu boloijskiego przechowywały się do naszych czasów. Wynika z nich, że Kopernik egzaminu tam nie składał.

Przechowywała się natomiast inna wiadomość o tytule naukowym Kopernika, z roku 1499, tej jednak nikt z nowoczesnych biografów nie dawał wiary. „Historia Gymnasii Patavini” (uniwersytetu padewskiego) Mikołaja Comnena Padapolli, Greka, wydana w r. 1728, zawiera poniższy ustęp: „Nicolaum Copernicum Patavii Philosophiae ac Medicinae operam dedisse, per annos quatuor, constat ex Polonorum albis, ubi discipulus fuit Nicolai Passarae a Genua, et Nicolai Verniae Theolaiti, a quo ad utriusque sententiae lauream procectum assensum acta Medicorum ad an. MCDXCIX”. (Mikołaj Kopernik oddał się w Padwie studiom filozofii i medycyny przez lat cztery, jak to wynika z albumu Polaków: był tam uczniem Mikołaja Passara z Genui i Mikołaja Verni Teateficy, przez którego został doprowadzony do laureatu z obu nauk, jak to w nim świadczy akta Medyków z r. 1499).

Twierdzenie Papadopolli wydawało się absurdem wobec niezbytliwych dowodów, że Kopernik od r. 1496 do r. 1500 przebywał w Bolonii. Posuwano się aż do podejrzenia Papadopolli o świadomości fałsz. Badania archiwalne w Padwie nie doprowadziły do znalezienia żadnej wzmianki o Koperniku, ani w latach podanych przez Papadopolli, ani też w późniejszych, chociaż wiadomo z pewnością, że Kopernik wówczas w Padwie studiował. Między innymi, ferraryjski protokół promocji na doktora prawa z r. 1503 mówi, że studiował w Bolonii i Padwie.

Aby wybrnąć z trudności, warto raz jeszcze przeanalizować wiadomości przekazane nam przez Papadopolli. Jak słusznie zwrócił uwagę Hipier, opierał się on na dwóch źródłach: na albumie Polaków i na aktach fakultetu medycznego. Studenci Artium i Medycyny tworzyli zresztą w Padwie jeden uniwersytet, w odróżnieniu od prawników. O albumie Polaków przekazał nam zresztą Papadopolli cenną wiadomość pisząc o jednym z Polaków z XVII wieku: „Certum est ex albo polonorum, quod habemus prae manibus, traditum a quodam Athanasio Rhuteno, qui Polonam bibliothecam Patavii nostra aetate diripuit, venditque caducibus, fugit, Stanislaum Lubenski nobillem Polonum, qui deinde Polonicus Episcopus fuit, Patavii Eloquientiae ac Jurisprudentiae studuisse”. (Jest pewne z albumu Polaków — który posiadamy

*) Patrz rys. w Nr. 35.

(Dokończenie na str. 9)

pod ręką nabyty od niejakiego Atanazego Rusina, który w naszych czasach w Padwie obrabował bibliotekę polską i po sprzedaniu rękopisów zbiegł — że Stanisław Lubieński szlachcic polski, który później był biskupem płockim, studiował w Padwie retorykę i prawo).

Tak więc w pierwszej ćwierci 18 wieku biblioteka polska w Padwie została okradzona przez niejakiego Rusina Atanazego: rękopisy zostały sprzedane i album polski dostał się do rąk Papadopoli. Podaje on wiadomości czerpane z albumu polskiego, o wielu polskich słuchaczach: są wśród nich: Jan Kochanowski, Stanisław Rescius, Maciej z Miechowa, Albert Ródczewski. Hieronim Podowski, Jan Sobieski. Natomiast Papadopoli nie mówi nic o wpisaniu się do albumu Polaków Hożusza, Króme-ra i Jana Zamojskiego, pomimo że podaje ich życiorysy.

Widąc, że Papadopoli miał istotnie „prae manibus” (pod ręką), album Polaków. Wy-daje się, że zawierał on nie tylko spis polskich słuchaczy i lata ich pobytu w Padwie, ale również i adnotacje dotyczące ich studiów i uzyskanych stopni naukowych. Dane, które Papadopoli przekazał o innych Polakach, nie są fałszem. Zresztą stwierdzone, że Papadopoli daje prawdziwe wiadomości o Grekach, którzy studiowali w Padwie, nie ma podstaw do kwestionowania jego dobrej wiary w tym, co pisał o słuchaczach innych narodowości.

W sprawie notatki o Koperniku jest jeszcze jeden argument, raczej psychologiczny, który przemawia na korzyść Papadopoli. Mówi on, że Mikołaj Kopernik był uczniem Mikołaja Passera, sam jednak o tym profesorze niemal nie wie. Nie podaje jego życiorysu i ogranicza się do wzmianki o nim w biografii jego syna, również profesora w Padwie. Gdyby Papadopoli fałszował dane o Koperniku, dałby mu na profesorów znanych sobie ludzi o pewnej sławie w jego mniemaniu.

Data padewskiego licencjatu Kopernika, wymieniona przez Papadopoli, zgadza się z datą aktu, w którym, jak się zdaje, pierwszy raz w życiu Kopernik użył tytułu magistra, może pod wpływem zadozwolenia z pierwszego uzyskanego stopnia naukowego. Data zapisania się do albumu polskiego zgadza się nieźle z czasem przybycia Kopernika do Włoch. Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że Mikołaj Kopernik wyjechał do Włoch w drugiej połowie marca 1496 r. Pod koniec roku zapisał się do „Nacji” germańskiej w Bolonii. Miał więc czas zatrzymać się w Padwie, do której zresztą i później mógł dojeżdżać.

Brak śladów archiwalnych sprawy w Padwie jeszcze nie przesądza. Były to „czasy upadku i chaosu na uniwersytecie padewskim”. Papadopoli zaznacza: „Ab hoc anno (1497) tum propter tumultus bellorum, tum propter pestilentiam Gymnasium discipulis exstris destituit, Rectoris officium defuit triennio vel quadriennio”. Kopernik zdawał więc egzamin w okresie, gdy nawet rektora nie było.

Powstałe pytanie, dlaczego Kopernik przebywając w Bolonii udał się aż do Padwy na egzamin z filozofii, a może i z medycyny, jak chce Papadopoli. Można by na to odpowiedzieć, że musieli nim kierować te same względy, które go skłoniły do doktoryzowania się z prawa w Ferrarze, choć wówczas stałą jego siedzibą była Padwa. Wyłudnione uniwersytety starają się

Kopernik w Bolonii

(Dokończenie ze str. 8.)

przyciągać studentów z zewnątrz, choćby tylko na egzamin. Obniżano im opłaty, bardzo być może, że stawiano imniejsze wymagania, niż własnym słuchaczom. Nawet, jeśli Kopernik zapisany był na wykłady w Padwie, musiało go to taniej kosztować, niż w drugim uniwersytecie bolońskim. Względnie oszczędnościowy grał dla niego niewątpliwie dużą rolę, a opłaty egzaminacyjne były bardzo wysokie, wynosiły dziesiątki dukatów. Poza tym kserwy promocyjnie wzrastały niepominięte wskutek tradycyjnych wydatków na podarki, przyjęcia i uroczystości (tripudia, bastiludia aliasque festivitates peragere). W obcym uniwersytecie tego można było uniknąć.

Być może, że w związku z wyjazdem Mikołaja do Padwy i uzyskaną tam pro-

ną lepszą, pokazali grę wyjątkowo piękną i wysoki poziom. Gdyby nie „szczęśliwy dzień” brytyjskiego bramkarza — Polacy, którzy nieustannie atakowali, powinni byli wygrać.

Sądząc ze składu „British Touring XI”, w którym gra np. słynny zawodowiec Cullis — reprezentujący Wielką Brytanię przez 4 lata — jako kapitan drużyny, Brytyjczycy pokazał prawdziwy kunszt zawodowego piłkarstwa. Polacy będą musieli wyżyć wszystkie siły, by dorównać temu poziomowi.

Mecz polsko-brytyjski odbędzie się w dniu 14 listopada we wtorek o godz. 14.30 na reprezentacyjnym stadionie Rzymu „Stadio Nazionale”. Wstęp bezpłatny.

POLSCY PIŁKARZE W RYMIE

Reprezentacyjna drużyna 2. Polskiego Korpusu wyjechała do Rzymu. Rozegra ona tu mecz z reprezentacją Armii Brytyjskiej frontu włoskiego, która występuje pod nazwą „British Touring XI”.

Jednostka brytyjska jest bezwzględnie najsilniejszą drużyną piłkarską wojsk alianckich na tutejszym terenie. Niedawno Brytyjczycy pokonał w Bari reprezentację Jugosławii, która dotąd nie przegrała z nikim.

Do spotkania z reprezentacją 2. Korpusu przynajmniej Brytyjczycy wielką wagę — tym bardziej, że Polacy, mimo że przegrali 29. X. w Anconie mecz z inną reprezentacją bryt. 0:1 (do przerwy 0:1) — zdaniem miejscowej prasy angielskiej — byli druży-

nią lepszą, pokazali grę wyjątkowo piękną i wysoki poziom. Gdyby nie „szczęśliwy dzień” brytyjskiego bramkarza — Polacy, którzy nieustannie atakowali, powinni byli wygrać.

Sądząc ze składu „British Touring XI”, w którym gra np. słynny zawodowiec Cullis — reprezentujący Wielką Brytanię przez 4 lata — jako kapitan drużyny, Brytyjczycy pokazał prawdziwy kunszt zawodowego piłkarstwa. Polacy będą musieli wyżyć wszystkie siły, by dorównać temu poziomowi.

Mecz polsko-brytyjski odbędzie się w dniu 14 listopada we wtorek o godz. 14.30 na reprezentacyjnym stadionie Rzymu „Stadio Nazionale”. Wstęp bezpłatny.

BIBLIOTEKA „ORŁA BIAŁEGO”

NAKŁADEM ODDZIAŁU PROPAGANDY I KULTURY D-TWA APW ukazały się dotychczas następujące książki w Bibliotece „Orła Białego”:

Dziełowa idea państwa polskiego, Jan Szulczyński, Jerozolim 1943.

Kampania wrześniowa 1931 roku w Polsce, Henryk Płatkowski ppłk dypl. Jerozolim 1943.

Obrońca Lwowa w roku 1939, Kazimierz Ryś, Palestyna 1943.

Geopolityka, strategia i granice, Ryszard Wraga.

Z doświadczeń przeszłości, Julian Łukasiewicz.

Rok 1863, Józef Piłsudski, Palestyna 1944.

The Curzon Line by Adam Pragier, Palestyna 1944.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, Palestyna 1944.

W marszu - Zbiór pieśni żołnierskich, Palestyna 1944.

Wrześniowym szlakiem, Jerzy Łuży, Palestyna 1944.

Polskim szlakiem, cz. I - Z dawną pieśnią - z dawnym znakiem, opracowali dr Janina Pilotowa i Witold Zahorski, Palestyna 1943.

Polskim szlakiem, cz. II - Na ojczystej ziemi, opracowała dr Janina Pilotowa, Palestyna 1944.

Polskim szlakiem, cz. III - Dojrzeliśmy, opracowała dr Janina Pilotowa, Palestyna 1944.

Skrócony podręcznik języka włoskiego - gramatyka, rozmówki, słowniczek, Palestyna 1944.

Azja i Afryka - Antologia poezji polskiej na Srodkowym Wschodzie, opracował Jan Bielatorowicz, Palestyna 1944.

W laboratorium radości życia - Zarys higieny psychicznej ze szczególnym uwzględnieniem życia wojskowego, Wiktor Szaryński, Palestyna 1944.

Wspomnienia Starobielskie. Józef Czapski, r. 1944.

Przewodnik serdeczny. Bolesław Kobrzyński, poezje, Rzym 1944.

W najbliższym czasie ukaza się jako dalsze tomy Biblioteki „Orła Białego”:

Quo Vadis - T.I. i II. H. Sienkiewicz. Konstytucja R.P. (wydanie drugie) z nowym wstępem opracowanym przez R. Piestrzyńskiego.

Rozmowa z Księżycem - poezje - Józefa Żywny.

Wracające żagle - poezje - Janusza Wedowa.

Artykuły zebrane - Adolfa Bocheńskiego, z artykułem wstępem Józefa Czapskiego.

Młodość zraniona - poezje - Jana Olechowskiego.

Ponadto nakładem Oddz. Prop. i Kult. D-twa APW ukazały się następujące wydawnictwa.

Kalendarz Żołnierza APW 1944 r., Palestyna 1944, Mgr. grudzień 1943.

Modlitewnik dla Greko-Katolików, Jerozolim 1944.

Przewodnik po Włoszech. Rzym, Bari, Neapol, Taranto, 1944 r.

Monte Cassino. Album artystyczny - szkice Zygmunta Turkiewicz. Rzym 1944 r.

mością, na wiosnę 1499 r. bracia Kopernikowie znaleźli się w Bolonii bez pieniędzy, zwrócili się więc o pomoc do będącego właśnie w drodze do Rzymu Georga Prange, sekretarza swego wuja biskupa. Pleban Prange również nie obfitował w środki pieniężne, pisał jednak za Koperników w banku na pokątno stosunkowo sumę 100 dukatów. I odatkowego poręcznia udzielił przedstawiciel kapituły warmińskiej w Rzymie, Bernard Scultet. 21 października 1499 r. pisał on do biskupa Łukasza Watzoldo o tym, jak Kopernikowie „zwyyczajom scholarów” znaleźli się bez pieniędzy i jak się zwrócili do Pranga, „niby goły do gołego”. List pisany jest tak, aby udobruchać surowego i trochę chmurzonego wuja, który zresztą — jak wiemy — w lecie Bolonii przeżywał jako student podobne kłopoty. Przede wszystkim jednak ze słów przebiega dobrze, a równocześnie trochę protekcyjnie pozbliżające człowieka, który przebył już znaczną część drogi, prowadzącej do umiarkowanej, ale zato pewnej kariery.

Drobną tragedią studencką braci Koperników została jakoś załatwiona. Dług został spłacony, gdyż w następnym roku mogli oni wyjechać z Bolonii do Rzymu — ustawy „Nacji” germańskiej były bardzo surowe dla tych członków, którzy by chcieli opuścić miasto bez uregulowania należności.

Wyjazd do Rzymu nastąpił w r. 1500 pomiędzy 4 marca (data ostatniej zaopiniowanej obserwacji przez Kopernika w Bolonii) a 6 listopada (obserwacja, dokonana przez Kopernika w Rzymie).

L. A. Birkenmajer przypuszcza, że wyjazd nastąpił na wiosnę. C. Malagola wy-szuwa hipotezę, że miał on miejsce w początku września, gdyż studium bolońskie zamknięło się 6 września i następnego dnia, w wigilię Matki Boskiej, zaczynały się wielkie wakacje.

Bracia Kopernikowie zdążyli na uroczystości Roku Jubileuszowego do Rzymu. Wkrótce po przybyciu, Mikołaj Kopernik „mając lat około 27, jako profesor matematyki, przy licznych napływie słuchaczy i w kole wielkich mów i mistrzów tej nauki, odbywał postrzeżenia jak najstaranniejsze”.

Stanisław Janikowski

Ofiary

Za pośrednictwem Redakcji „Orła Białego” zostały złożone następujące ofiary:

1. Strz. TOR Stanisław L. 8 na pomoc dla ludności Warszawy.

2. Kapr. BOLKO Zbigniew L. 15 — jako honorarium z zawodów bokserskich — na pomoc dla ludności Warszawy.

3. Prezes kasyna podoficerskiego Kwatery głównej D-twa Korpusu chor. MILLER Jan — jako oszczędność tego kasyna — L. 44 sh. 18 d. 10 z przeznaczeniem na pomoc dla ludności cywilnej Warszawy z równoczesnym apelem do wszystkich kolegów — prezesów kasyn podoficerskich A.P.W. o składanie ofiar na ten sam cel.

4. Kpr. BOLKO Zbigniew L. 25 — jako honorarium z zawodów bokserskich — na cele kulturalno - oświatowe.

Żołnierze 2. Korpusu, którzy przebywają na leczeniu w Polskich Szpitalach w Szkoci złożyli L 170 sh. 3 na pomoc dla ludności Warszawy.

JAN OLECHOWSKI

ANTOLOGIA POEZJI APW

Utwory pięćdziesięciu dwóch poetów, których wiersze powstały w okresie walk, szkolenia i organizacji Armii Polskiej na Srodkowym Wschodzie, zostały zebrane w antologii zatytułowanej „Azja i Afryka”.

Jest to właściwie pierwsze wydawnictwo, które w sposób możliwie wyczerpujący obejmuje całość nowożytnej twórczości poetyckiej, związanej z historią żołnierza polskiego na Srodkowym Wschodzie. Jest to dokument kulturalny tej Armii, która po wstrząsających przeżyciach kampanii wrześniowej, najbardziej fantastycznymi drogami, poprzez Azję i Afrykę, trzymała wysoko nie pochylony nigdy szlendar walki o calosć i niepodległość utraconej ojczyzny. Dzieje tych żołnierzy, związane wspólnym ideowym nurtem poświęcenia i woli walki zbrojnej, znalazły swój wyraz w bogatej twórczości poetyckiej. Poezja polska, jak w latach wielkiego romantyzmu, weszła na drogę służby narodowej. Sformułował to

w swej przedmowie gen. Wł. Anders w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości: „w naszych okopach kryje się z nami dusza Polski, jej twórczość i jej prawa, jej rzędy i przyszłość”. Skończyły się dla poetów czasy chaotycznych pogoni za sensem poetyckiego twórczości. Karta twórczości poetyckiej następuje wprost za kartą zbrojnego czynu żołnierza, podjętego w imię celów bezspornych i największych w historii ideałów ludzkości.

Stąd też wypowiedziały się najważniejsza cecha jej twórczości — jej prawdziwość. Od utworów najmłodszych poetów, zmagających się z formą i technicznymi, aż do utworów poetów dojrzałych, których estetyka określona była już dawnym, prawem, wszędzie przejawia się nurt przeżytych prawdziwych i najbardziej rzeczywistych. I to jest wielka siła tej poezji, przemawiająca do wszystkich. Rzucając się w oczy zjawisko pompatyczne i serdecznego przywiązania szerokiej mas żołnierskiej do twórczości poetyckiej, która towarzyszy im we wszystkich wdródkach, nie milknie w najtrudniejszych chwilach, dumaczy się między innymi prawdziwością — wspólnym nurtem przeżytych.

Problematyka narodowej walki, jej chmury, blaski i cienie — to jeden motyw,

który przejawia się we wszystkich utworach zebranych w antologii. Dwiecży w nich świeży gorący patriot, szczerzy, nie zakłamanym, taki jak życie i walka tej armii. Jest w nim męski, twardy stosunek do wojny, jest tragiizm jej przyjmowany bez histerii, czy niedłego pacyzizmu. Są w nim uczucia najbardziej ludzkie, które w zetknięciu z walką trudną i dramatyczną, dźwięczą najbardziej czystym tonem.

Osobną kartę stanowią utwory, w których poeci wcieliłi urok i piękno obcego świata, egzotykę Wschodu. Od „Sonetów krymskich” Mickiewicza, od motywów wschodnich w poezji Słowackiego, poezja polska znajduje nowe utwory, w których mieni się wszystkimi barwami tajemniczy świat wschodu.

Antologia rozpoczyna się od utworów poetów — Lecha Piwowara, który zginął w Rosji. Utwory te nie wiążą się z twórczością Srodkowego Wschodu, ale jak to słusznie podkreślił Jan Bielatorowicz w swoim wyczerpującym wstępie do antologii, są one jak gdyby testamentem tego poety zamkniętym okres przedwojennych poszukiwań poetyckich i otwierającym nowy try twórczości poetyckiej — w walce i cierpieniu narodowym. Utwory te, pisane na sowieckiej „kurtilnej bumagie”, stoją u progu nowej historii polskiej twórczości poetyckiej, której fale zeszły w podziemia kraju, a na obczyźnie towarzyszą żołnierzowi polskiemu wszędzie, w okopach, w walce, na placówce.

Antologia nie klasyfikuje wartości utworów i poetów, których obejmuje. Jest ona w pierwszym rzędzie dokumentem literackim. Totę znajdują się w niej utwory poetów młodych i najmłodszych obok utworów poetów dojrzałych, o znanych nazwiskach. Takie ujęcie antologii pozwoli czytelnikowi na zorientowanie się w rozmiarach twórczości poetyckiej, w jej bogactwie, a dla przyszłego historyka literatury stanowić będzie bezcenne źródło informacji dla dziejów polskiej myśli twórczej w okresie oznaczonym trzema literaturami: A. P. W.

Trzeba przy tym podkreślić głęboki wkład pracy autora antologii — Jana Bielatorowicza, którego troska o najdrobniejsze przejawy polskiej twórczości kulturalnej sprawiła, że po uprzednio wydanej antologii poetów karpackich, mamy możliwość przekazania historii literatury polskiej pełny obraz wysiłków polskiej myśli twórczej w okresie trudnym i niemożliwym, w okresie zbrojnej walki na obczyźnie.

Dzięki skrupulatności, inicjatywie i głębokiemu poczuciu wartości kulturalnych Bielatorowicza okres ten będzie mógł wykazać się dorobkiem poważnym i cennym dla przyszłości Polski.

A dla żołnierzy walczących na wszystkich frontach jeszcze raz podkreślić prawdę wielką i twórczą, sformułowaną przez Żeromskiego, że: „jedna ciekawość poezja polska nie opuści żołnierza”.

*) „Azja i Afryka” — antologia poezji polskiej na Srodkowym Wschodzie. Przedmowa — gen. Władysława Andersa. Opracował i wstępem zaopatrzył — Jan Bielatorowicz. Wydawnictwo — „Biblioteka Orła Białego”. Palestyna 1944.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Zabijany na raty

Przygasła bitwa Karpackiej, aż zgasa. O 19.30 wycofał się ze swoim oddziałem ostatni obrońca 593 — pchor. R.

O godzinie 21 wyszło na 12 pułk ułanów natarcie niemieckie. Po godzinie odpłynęło — odparte.

Zacichła broń matołkalibrowa.

Miedzy zetłalymi trupami amerykańskiego natarcia, między rozkładającymi się ciałami natarcia hinduskiego — leżący ciała zabitych tej doby, leżeli ranni Polacy i Niemcy.

St. strz. pchor. Tereszczuk leży ranny już całą noc i cały dzień i znowu całą noc.

Przydzielony z 4. baonu jako ogniomiotacz do nacierającego 2. baonu, został ranny zaraz w pierwszej fazie. Wyrczył zasapanego sierż. D. -ckiego — wziął od niego 34-kilowy miotacz płomieni, oddając do nieniesienia lżejszą butlę i tomsona.

Krzyczano: „Biegiem, bo artyleria przeduży” i biegli w przód wypierając z siebie ostatni dech.

Krzyczano: „Cofać się — bije własna!” i cofali się śpiesznie, polykając się z głazy, lecąc z ostrych przechyłów.

Obuczony — wpadł na koncertinę, nie mógł się wyplątać. Tam go trzasło. Poleciał w dół. Gdy oprzytomiał, zobaczył, że leży w drutach. Potem — poczuł ból w lewej nodze. Spojrzał na nią i przez chwilę nie rozumiał: leżał na wznak, a noga sserzała piętą w górę. Pojął, że widac uległa gruntownemu zgruchotałowi i przekręciła się na sfilaczalnym mięsie. Trudno było wiedzieć co jest — noga była masą miagkiej eukiennej i jakiejś krwawej kaszanki. Wielkimi wysiłkami obrócił się na brzuch, aby być w zgodzie z piętą. Zmieruchomiał i czekał.

Krwí dużo spłynęło — ciśnienie się obniżyło. Lepkość krwi przebiła coraz trudniej jej słabnący strumień. Zmieszane w wielkiej przestrzeni ścianki naczyń krwionośnych spryskały zakrzepowi. Po kilku godzinach rana się zacopowała w potwornie narosły strup. Dalsza utrata krwi była zahamowana.

Miejscu, w którym leżał Tereszczuk, nie było najlepsze. W kolo szła walka i było w stek bez opamiętania. Po dwóch godzinach leczenia objęto warcem plecy: seria spandaua pojechała po nich i posiekala — gęsto, ale nie uszkadzając kości.

Kiedy już było dobrze światło, walka przytycha i pokazali się sanitariusze polscy i niemieccy.

Polski i niemiecki sanitariusz usztynili mu nogę karabinem, włożyli na nosze i ponieśli pod górę — do wngki, która leżała w obrębie zajętym przez Polaków. Tam leżał patrząc biernie, jak koledzy walczą.

Nad ranem zginął mjr Rojek. Otrzymałszy tę wieść porucznik, strzelający do końca z tomsona, usiadł przy rannym. A potem zaczął schodzić, a on znowu został — sam. Leżał ciałem na brzuchu, unosząc głowę. Zobaczył Niemców, którzy krzyczeli, aby nie rzucać granatów. Ale granatów rzucić już nie było komu. Niemcy pobierali swoich rannych i poszli. Inny ranny, Polak, doczekał się. Był to sanitariusz. Miał sprzątnąć potrzebny i złożył szynę, ale rany w tym stanie opatrzyć nie mógł.

Temczasem w tej ranie rozgorzała zawzięta walka. Skrzep spełnił jedynie swoje zadanie — wstrzymał upływ krwi i obumarl; jako martwa już tkanka nie mógł przeszkodzić przenikaniu w głąb zarażeń, które olbrzymia siła ssercia pocięku wciągająca wraz ze strzypami munduru, zanieczyszczonej, krwi i ziemi.

Pierwsze na lup ruszyły baterie gniaz. Produją w alaku, mając gotową broń — eksofeksję, którą wydzielają, same nie umierając. To one powodują gwałtowną gawogę (gangrenę), porażającą tłumy ofiar w przedpiedzielnym czasie. Bakterie gniją, nie są bezbożne — dają, by jak najszybcej zaszły się w tkankę podskórną, tkankę zmiędrzenia, gdzie żaden pcheryk tlenu nie stanie na ich drodze.

Pracowim organizm Tereszczuka posłał specjalnie ćwiczone oddziały przeciwdrogi, antytoksyny, wrodzone i nabyte w ciągu życia czynniki bakteriologiczne.

Za bakteriami gnijnymi poszedł zgiełkliwy tłum — zbieraczka bakterii ropotwórczych. Bytujące sobie na skórze Tereszczuka, okazały się nie-

lojalną mniejszością, która, jak tylko powstał wyłom w ciele, jak tylko obcy czynnik przełamał granicę, rzuciły się na osłabiony organizm, który był ich domem.

Szły zagonami jęcuskowce, szły grupami szturmowymi — po cztery, po sześć, po osiem — paciorkowce. Szły liczne ich szcypy, niektóre wspótwierając się, inne współwalczące z sobą. Szedł liczny klanem najczęstszy — gronkowice złoisty.

Na ósrodek oddechowy! Na ósrodek naczyńowy! Na wątrobę! Na obie nerki! Na wszystko, co utrzymuje życie...

Gęstym murem przeciwko nim zbliżyły się tuż za strupem zmobilizowane leukocyty — białe cząsteczki krwi. Wypuściły macki, groźły, ale same są w strachu. Dopadnięty przez

Ciągle bez opatrunku. Ciągle bez wody. Położyli go na wznak — nie wie, czy pięć tygodni, czy leży w dół, czy też do góry. Patrzy w poszarpany pułap. W pułapie raz po raz bliski. Szkielet domu raz po raz napenia się blaskiem. Nasi mocno biją tej nocy.

Tej czwartej nocy — z 14 na 15 maja Tereszczuk i to coś dalekiego, co wciąż jeszcze rościł pretensje być jego nogą — zostaje wyniesione, zostaje niesione jakimś labiryntem skał, zostaje wstawiane na ciężarówce razem z pozostałymi trzema ciężko rannymi Polakami. Widać pojąd na niemieckie G.P.O. — gdzie pewno mają wodę... Tereszczuk myśli tylko o wodzie, stara się nie myśleć o tym, że mu rozwinął miążgę, która jest na miejscu lewej nogi.

Ciężarówce kryty brzożentem — rozbił się pod budą raz i drugi od bliskich ryków. Niemcy uciekli. I zaraz potem

się zapalony kaganek ze spirytusu skon-

densowanego. Gdzieś na ręku niemieckiego żołnierza odmierzał się czas.

Wreszcie — wstali, zgarnęli oporządzenie. Wyszli z rannym w czasie tego — przetoczyli się, przez przekulgnął — zdmuchnął kaganek. Leżał teraz pod inną ścianą. Przez otwór schronu wstawiono szmajer i na dawne jego miejsce posła seria. Po czym kroki zacięży.

Dobijany człowiek nie chciał umierać. Nie chciał umierać — nie opatrzyć i nie napojony przez całych długich siedem dni.

Bo cały dzień 15 maja biała dookoła artyleria — nawet w schronie, mającym wąski wyłot, pełno było kurzu, dymu i gazów spalinyowych. Strop był jednak umocniony, z dwu grubych stalowych belek z podwojną ciężarówką, na tym siałku, dalej skrzynia z piaskiem.

W nocy z 15 na 16 poczyna trącić przy-

tomność. Organizm jego już w pierwszej dobie, zaniepokojony produktami rozpadu z zmieszanych tkanek, rozpałł pięć gorzących resorbyjnej — zorganizował zakład spalania śmieci, których by nie spalił w normalnej temperaturze.

Alé w drugiej dobie pojawiły się zwądy trupów bakteriowych i leukocytych.

Trzeba je resorbować, trzeba resorbować nagromadzone jady, zwiększyć należy temperaturę.

Centrum termoregulacyjne w mózgu wskazuje maksymalny nacisk, Tereszczuk gorączkuje. Mający mu się, że koledzy przysięli, że chcą go wynieść. Potem cuci go przeszywające ból nogi i wtedy wie, że go nikt nie wola. Może bićwa przetoczy się, a do tej dziury zajrzy jakiś pastuszek dopiero za pół roku?

Majaczy, ocyka się, szarpany bólem, jeży, znowu zapada w inajaczenie, przez całą noc z piętnastego na szesnasty, przez całą przedpołudnie szesnastego, przez całe popołudnie szesnastego, przez noc z szesnastego na siedemnasty, przez świt, przez ranek, przez południe, przez przedwieczorną chwilę, przez wieczór siedemnastego, przez północ przechodzący na osiemnasty, przez ciemność nocy osiemnastego, która zapada się w nicość.

18 rano budzi go warkot motoru i głosy. Angielskie głosy! Chce krzyczeć, ale nie wie, czy wydaje jakiś głos. Pewno jęknął. Bo przez otwór wpełza — nie że szmaje-rem, z manierką! — Anglik!

Głowa, ręce — strupy. Od pasa — wiją się białe robaki (czytałam „przebieg” „miedzy ściągami mięśniowymi i kłó-wiska robaków”).

Te robaki — larwy much, to przy-jaciele, zjadają tylko części obumar-łe, a ich wydzieliną zabijają wszystkie bakterie. Widziałem go — le-żał z językiem wysuniętym ze spalonych warg, z głową spaloną, z obwinionymi kikutami, już po ampu-tacji: opowiedział mi tę sprawę między śmiercią i życiem.

Anglik nie dożyłk niczego, tylko tak delikatnie w spalone rozwarze usta wodę z manierki. Doirzał bił w oczach tylo-krotnie zabijano. Pomyślał. Krzyknął do kolegów na zewnątrz. Wsunął mu drugą manierkę, którą wszczył.

Potem... wycignęli go.

Potem... układali go na łóżku sanitar-nym.

Potem... dwa kilometry pchali żakid do drogi polem nie zapuszczając motoru — aby nie trzęsło.

Miał patrol z 5 batalionu. Kolega szkol-ny. Nie poznal, przeszedł, nie będzie przez kogo wieści dał.

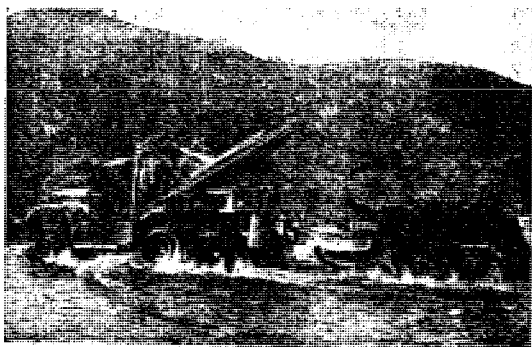
Na W.P.O. apelsikim — zastrzyk, jakiś napój, maska na spaloną twarz.

Dopiero w 5 polskim C.C.S. zdjęli ubra-nie omatletem. Docuili. Księżę wywołal-dal w krótkiej drodze. Dr Jakubowski wziął go zaraz na operacyjny stół.

Organizm — na miejsce poległych zorganizował nowe odwoły leukocy-tów. W K.U. organizm, tzn. w sple-ku kostnym, nastąpiły wznoszące procesy tworzące ciałek białych. Odpowiadano do potrzeb — tworzone młode wojsko, lub też bardziej wy-specjalizowane.

Obronił się organizm zabijany na raty...

I Tereszczuk — żyje!...



Z odcinka „Kresowej”: Na górskiej, wioskiej rzece...

większą ilość przeciwników, posze-rony leukocyty dostawiały się w wy-dzieliny bakterij obumiera. O ile jednak przeciwwaga sił nie jest ra-żona, leukocyty obejmują mackami, na podobieństwo ameby, bakterie, tra-wią ją, ale sam obumiera.

Straszna walka rozgrywała się w ciele Tereszczuka. Jeśli bakterie po-konają leukocyty, zaturają najpierw swymi jadami organizm, a potem go zabiją. Nie wiadomo jeszcze wy-nik tej walki.

Leżał tak do wieczora i znowu całą noc — do rana. Już półtora doby. Co było w dole ciała — nie wiedział. Wiedział, że usta mu chrzączą zeschłym oddechem, żar-piekielny stół w cieple.

Specjalna komórka sygnalizacyjna w mózgu na gwałt alarmowała, uprzedzała o wzrastającym zakwa-szeniu organizmu, które sprzyja roz-wojowi bakterij. Cierpiał z pragnie-nia strasznie.

Rano 13 maja zabrał go patrol niemie-ckich sanitariuszy i zniósł w dół o jakie 3 km, do niemieckiego wysuniętego punktu opatrunkowego, który mieścił się w jaski-ni. Niemcy sami nie mieli ani wody, ani nie dali jeść. Byli jeszcze czterech innych naszych rannych.

Leżał tak cały drugi dzień i całą trzecią noc — bez jedzenia, bez wody, bez opa-trunku. Zmieszana noga broniła się tam, urządziła się jak umiła: coś tam wy-puchło, pokrzyżło, wybuchło się.

To organizm przystąpił do roboty aperskiej na granicy części zdro-wych i zmiażdżonych, nie nadają-cych się do życia tkanek.

Saperzy — naczynia pęcznającą pęcz-kować, wał wznoszący urasta z nowo utworzonej tkanki, z opatr-kuwej w gęstą sieć naczyń krwionoś-nych. Bakterie atakujące mur są brane do niewoli, pędzone za wał, ewakuowane w głąb tymi krwionoś-nymi naczyniami — a tam już nie obserwuje się względem nich kon-wencji hasek — są one w odpow-iadnych narządach zlikwidowane.

Na miejsce przewoźniczego strupa narasta ziarnina — jak cegły muru. Z tego powstaje blizna.

Za to poszarpane przez spandau plecy brzojszy, pękły, bolały niezmownie. Kiedy rankiem trzeciego dnia — był to już 14 maj — przenoszono ich do ruin jakiegoś domu — czuł, jakby na nim żywym eksplodowało ciało do pasa, od pasa był bezwład.

trzasnęło w samochód, zawalila się buda. Tereszczuk poczuł ból zdrowa noga, prawa została trafiona. Śwąd spalinyzny pod zwal-oną budą przyniósł go jak poduszka, którą doszuszają umierającego. Następną zapalającą poisk zapalił budę. Człowiek zabijany na raty skulgnął się przez burłę i padł jak krwawy wór na ziemię. Z wozu słychać było krzyki żywym palonych.

Baiki na wozie poczęły się palić, ogień padł na niego żagwiącymi sopłami, jakaś amunicja na ciężarówce poczęła eksplodo-wać. Zastaniał twarz jak mógł, wreszcie, zdjął zwierzyłem strachem, podciągając korpuse rękami; tak próbuje się ratować owad o zagniecionym odwłoku.

Jakiś sechły, wóz się dopalał. Człowiek, który chciał żyć, leżał na wznak — ko niebu straszliwie popalony twarzą. Niebo, jak zwykło od lat miltonów — mrugało do niego głupekowo gwiazdkami. Szyna, założo-na na nogę, opadła przy upadku z wozu — piętą znowu stanęła palcami w dół.

W pewnej chwili — Tereszczuk już prze-staje wyznawać się w biegu czasu — zachrzącł szuter, pokazał się cień. I zaraz ogień armatni ponownie się rozchwał — cień przyniósł przy popalonym.

— Gdzie domek? — pyta Tereszczuk; tam pewno pochowali się sanitariusze; tam pośle powiedzieć, że jeden z ładunku spa-łonego ciężarówka jest żywa.

Przeszedł nad ich głowami poisk z wy-ciem i ich ludzki się przypieczył. Pod-bied długi. Teraz widzi — Niemcy. Ale nie sanitariusze. Nie wiedzą, gdzie domek. Ciągają go do swego stanowiska. Skora przy tym obciera się ze spalonych rąk, ze spalonych twarzy.

W krywym kierunku opatrzył jego prawą nogę — lewą ręką nie śmiał.

Walka leukocyty z bakteriami zakochana w się dla organizmu pomy-słać, ale niestety, cieli pomordowa-nych bakterij i leukocytych umoty-się w jankie krwi i utworzyć ropę.

Ropa bójnie sięgająca się i krapka. Wody nie miał. Trwało w tym bunkrze, aż — mogła to być trzecia nad ranem — dał się słyszeć chrząst kamyków.

Do schronu wchodził się oficer niemiecki. Ranny zrozumiał, że daje rozkaz z jaze-rem opuszczenia schronu za godzinę.

— A co z tym? — ż-biterze robił gest w stronę Polaka.

— Opuszczenie schronu dostrzeżli — de-cyduje oficer.

Podchorząy nie pokazał po sobie, że ro-zumie.

Oficer wypelził, jeden z żołnierzy spoj-rzał na zegarek na ręku. W schronie już